



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z prz. prz. pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

POSTACIE NIEWIEŚCIE

w poezjach L. Kondratowicza.

Studjum psychiczno-etyczne

przez

Stanisława Ostrowskiego.

Zbliżony od dzieciństwa do niższej warstwy szlacheckiej, siedzącej po zagrodach, poznał ją i przejrzał do głębi, ukochał jej serce szczere i proste, jej odwieczne cnoty, — chociaż bolał nad jej wadami. Z tej więc sfery społecznej — a nie z innej — rad czerpał wzory do swych kreacji poetycznych; poza próg magnackich dworów nie puszczał swej wyobraźni, o czym sam mówi w tych słowach: „Chciałem kreślić gmach pański — ołówek się kruszy...” Kreślił więc typy szlachty uboższej, zaściankowej, kreślił jej proste, chociaż nieraz niepozabawione gwałtowniejszych namiętności życie, jej bóle — i łzy — i wesela. P. Felicyan Suryn w swojej pracy o Kondratowiczu tak mówi o jego bohaterach: „Dla bohaterów stojących tak nisko hierarchicznie już niemożliwy jest bajronizm... nigdzie nie spotyka się u niego charakterów o aspiracjach wysoce przesadnych... nie ma miejsca w tych poezjach ciszy wiejskiej dla onych niedoszłych geniuszów...” Tak jest bez wątpienia: ludzie tu

są zdrowsi, wiedzą czego chcą i do czego dążą, a jednak i tu spotykamy nieraz sytuacje pełne grozy, walki i starcia serc i namiętności. Życie w poezjach Syrokomli — choć zamknięte nieraz w szczupłych ramach — występuje jednak przed nami w całej różnorodności i pełni swych różnorodnych przejawów.

Oprócz historyków literatury, którzy w swoich podręcznikach poświęcili Syrokomli po kart kilka, szerzej pisali o nim nieliczni, że wymienię Kraszewskiego, p. F. Suryna (który przed kilkunastu laty drukował swoją pracę w „Tygodniku Ilustrowanym”), którzy oceniali jego działalność literacką i analizowali główne postacie bohaterów. Natomiast mniejszą uwagę — o ile mi wiadomo — zwrócono na kreacje kobiece naszego poety. Nie ma dotąd w naszej literaturze wyczerpującego studium, któreby przeprowadziło psychologiczną analizę wszystkich kreacji niewieścich, oceniło je ze strony estetycznej i moralnej. A jednak tyle uroczych i niezwykłych nieraz postaci kobiecych przesuwa się przed oczyma naszymi w poezjach Syrokomli... Jaka piękna girlanda najróżnorodniejszych typów, poczynawszy od bohaterskiej niewiasty polskiej, aż do cichego, niewinnego dziewczęcia z głuchej kędyś litewskiej wioski... Sądję, że bliższy przegląd tych postaci nieobojętny będzie dla szerszej publiczności naszej, u której Syrokomla zyskała zasłużoną i trwałą sympatię — i w tym to celu podejmuję niniejszą pracę.

Na wstępie zaznaczyć należy, że wszystkie w ogóle utwory poetyckie Syrokomli podzielić można na dwie części, a to ze względu na epokę, w której się toczy akcja utworu. Chwila, kiedy nasz poeta wystąpił na pole działalności literackiej, nacechowana była w naszym społeczeństwie zwrotem ku ideałom przeszłości. Poemata Syrokomli dzielą się na dwie części: na historyczne, których treść zaczerpnięta z naszej prze-

szłości, nieraz bardzo odległej, bo sięgającej czasów pogańskiej Litwy, — i na społeczne pocie. W pierwszych, t. j. historycznych — z powodu braku studyów głębszych nad historią i językiem Litwinów — tło poematu nie zawsze jest najwiedzielszym odbiciem epoki, a tem bardziej wyprzedzone typy nie zawsze przypominają ówczesnych Litwinów, lecz kreślone są bardziej konwencyjonalnie; za to w utworach o treści społecznej kreacje uderzają swoją prawdziwością, życiem i wypukłością; w nich poznajemy już od razu typ polskiej kobiety lub litewskiego dziewczęcia... łatwo to się tłómaczy: tu bowiem poeta przenosił do swoich utworów wprost z życia typy osób, które go otaczały, z którymi żył najbliżsi i które kochał najserdeczniej.

Przegląd nasz rozpoczniemy od utworu p. t. „Margier,” który poeta chciał zrobić poematem narodowym dawnej Litwy, coś naksztalt „Grażyny” Mickiewicza. Krytyka literacka dawno już wydała wyrok, odsadzający ten utwór od prawa mianowania się eposem narodowym i postawiła go dużo niżej od Grażyny. Nieznajomość dawnego języka Litwinów, oraz trudność zgłębnienia ducha epoki, były dla poety przyczyną niedoskonałości utworu. Zresztą mniej nas obchodzi tu kwestya, o ile z kąd inąd zamiar poety stworzenia narodowego eposu chybił swojego celu; ważnem natomiast jest to, co o kreacjach tego poematu mówi sam autor we wstępie — oto są jego słowa: „Nie mając nadziei trafnego skreślenia Litwy i Litwinów, na tle danych historycznych kreślił *ludzi w ogólności*, starając się wszakże zgłębiać warunki miejsca i czasu...” Słowa te ważne są dla nas z tego względu, że mogłyby służyć nam poniekąd za miarodajną skalę, według której ocenilibyśmy wyprzedzone w utworze postacie niewieście nie jako z ducha i kości Litwinów-pogan, lecz jako ludzi w ogóle, postawionych w sytuacji ówczesnej

w zależności od wewnętrznych i zewnętrznych warunków.

Pierwszoplanową postacią niewieścią w poemacie, obok Margiera, jest córka jego, Egle, dziewięć młodzianek i niewinne. Najpierw kreśli nam poeta jej wygląd, oraz jej strój dziewiczy i prosty:

„ pokorna, nieśmiała,
Strojna tylko rumieńcem, co w jej licach pała,
Ozdobna jasnym włosom we dwoiste sploty,
Nie postać na niej hatłas lub strój szczeroloty;
Śnieżysta biała szata jej kibić obwija,
Sznurem krasnych koralu uwodzić się szyja,
A na głowie stalowych ogniwek przewłoka
Nie zdoła zgasić blasku błękitnego oka...“

Taką złotowłosą i błękitnooką ujrzał po raz pierwszy młody krzyżak, więzień Margiera, w komnacie — przed okratowanym oknem siedzącą u kądzieli; ujrzał ją po raz wtóry na łące, gdzie zbierała polne kwiaty; ujrzał — i zdziwił się, że z błękitnych oczu litwinki takie złote postrzały miotła kupido, że tyle w sobie powabu ma jej prostota leśna i jej dziewiczość.

Stał nad Niemnem — wśród niedostępnych zarosli — dąb przedwieczny, z bezlistnem, od pioruna spalonym czołem. W owym to stuletnim dębie założył sam Perkun mieszkanie, a z nim cały orszak innych bogów litwy: i Potrymbos i Milda „co miłością dyszy“ i Ziemiennik, bożek plonów jesiennych... wszystkie te bóstwa odbierały cześć od litwinów co wieczór i co rano, — tedy więc przechodzili łąką i ofiarnicy, i dziewice i starce niosący bóstwu ofiary. Ledwie za błysnie słońce po dolinie i ozłoci czoło święconego dębu, biegnie tedy po łące córka księcia, na czele grona rówieńnic, w bieli i w kwiaty przybrana, a za nią również w bieli idą rówieńnice dzbany pełne mleka na głowie niosące. Tu u stóp odwiecznego dęba, składają swoje ofiary, oplatają kwieciami girlandami pień pochyły, ztąd się rozlega po całej okolicy dźwięczne echo nabożnych pieśni...

Widował nieraz zdala młody więzień Eglę tedy przechodzącą, widział zdala jej ofiary i słyszał jej piosnkę dziewiczą i rzewną... i niedziwił się wężom świętym, że na głos jej pieśni wnet wyłaża z ukrycia i pełzną ku dzbanom, z których ona im mleko rozdziela... Litwini czczą te gadziny jak bóstwo, — ale on wie, że tu ona bóstwem jedynem, że jedno skinięcie jej oczu sprawia na gadach cuda niepojęte... Tak krzyżak młody — ukryty w zaroślach — „holdował zdala niewinnemu dziecku...“ Raz wreszcie ją spotkał na łące — „raz w oczy spojrzął po zdradziecku...“ A ona?... Ona — „skarciła go spojrzeniem“ — bezwiednie czując się obrażoną w swej niewinności zuchwałem jego spojrzeniem. Czy powodem tego była nienawiść, jaką słusznie by mogła karmić w swem sercu Egle ku najzaciętszemu wrogowi jej plemienia? Czy to nienawiść plemienna, lub inna jaka myśl bogom litewskim pokorna zbudziła się w jej sercu przy spotkaniu z krzyżakiem, wrogiem jej bogów oczyszczym i nadała wzrokowi ów wyraz karcący zuchwalca?... Wszystkie te uczucia dziewczęcej duszy litwinki byłyby zupełnie psychologicznie usprawiedliwione. Lecz nie podobnego nie znajdujemy podówczas w duszy litwinki.... Sam poeta mówi najwyraźniej: „Skarciła go spojrzeniem — *ani wiedząc o tem...*“ Był więc to tylko nieświadomy, bezwiedny odruch, w którym się — również nieświadomie — wyraziła obrażona godność dziewczica bez względu na to, czy obraza pochodziła od wroga jej plemienia — krzyżaka, czy od litwina, nie uczuła przy pierwszym spotkaniu z krzyżakiem wstrętu plemiennego ni nienawiści, — uczucia więc plemienne, religijne i rodzinne nie są dość silne w jej duszy, aby dominowały nad innymi, i przy konflikcie z tak silnym uczuciem, jakim jest w młodem sercu miłość osobista ku wybranemu,

łatwo przez nią zwyciężone zostaną. Wszystko, co dalej ma nastąpić — może być już przewidziane i psychologicznie usprawiedliwione po tym fakcie drobnym napozór.

Proces psychiczny w duszy i sercu dziewczęcem odbywa się dalej przewidzianą koleją: nie doznawszy przy pierwszym spotkaniu plemienną odrazą, Egle przy częstszym spotykaniu się z więźniem młodym coraz więcej nabiera ku niemu — nieświadomie może — sympatyj, będącej wynikiem litości jej nad jego oplakany los. On tak tęsknić musi do swoich, do dalekiego kraju, gdzie pewnie pozostała kochająca go matka, siostry... on tu musi żyć w oddali od swojego Boga, od wszystkiego, co ukochał od dziecka... Codziennie go widuje z rana, gdy zerwawszy się wcześniej po bezsennej nocy może w łóżku przepędzonej nocy — chodzący po wałach — cierpi... Egle stawia się w roli więźnia — czuje, jakby to jej było życie okropnie „kędys w Niemieczech, na krzyżackiej ziemi, nie widzieć nigdy Niemna, nie gadać ze swemi...“ Współczucie coraz rośnie w jej sercu i wywołuje potrzebę pocieszenia więźnia, rozpytania o jego troski i bóle... Czy odważyłaby się Egle na ten postępek?... Z pewnością, dokonałaby go przy uczynieniu pierwszego kroku ku zbliżeniu się ze strony Ransdorfa... Tymczasem jednak wypadki przyjmują bieg nieprzewidziany groźny i zmuszają ją do natychmiastowego działania.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Piotr Głmielowski.

Nasza krytyka literacka

W WIEKU XIX-ym.

(Dalszy ciąg)

Tę krytykę estetyczną zajmowali się wyłączenie czterej bardzo głośni swojego czasu pisarze w smaku pseudo-klasycznym: Szymanowski, Potocki, Osieński i Słowacki.

Józef Szymanowski wstawił się swoim przekładem „Świątyni Wenery w Knidos“, przetłumaczonej prozą Montesquieu'go na gładki wiersz polski. Przechwalenie tego przekładu przez Czartoryskiego i Potockiego, najdoskonalej nam objaśnia stan ówczesnej krytyki literackiej. Poemat jest nudny i po przeczytaniu, prócz wrażenia płochoci, nie zostawia wspomnień trwalszych; przekład jest gładki i potoczny, ale mdły, nużąco jednostajny. Zdawało się ówczesnym sędziom, że Szymanowski pierwszy u nas nagiął język nasz do wyrażania delikatnej tkliwości; zapominali chwilowo nie tylko o dawniejszych naszych sielanko-pisarzach, ale nawet o współczesnym sobie Karpińskim. Zachowanie prawideł rymotwórczych wystarczało im najzupełniej i ogłosili tłumaczenie Szymanowskiego za arcydzieło, rozwodząc się nad nim dłużej, aniżeli nad poematami oryginalnymi innych autorów; samego zaś tłumacza ogłosili za wybornego znawcę „gustu.“ Kiedy się utworzyło w Warszawie pod koniec XVIII wieku „Towarzystwo krytyczne“ celem powstrzymania powodzi złych książek, Szymanowski, będąc jego członkiem, napisał dwa „Listy o guście czyli smaku“, przywołane odtąd na dowód trafności i delikatności spostrzeżeń, dotyczących literatury. W pierwszym liście rozstrząsał pytanie, co to jest gust, a w drugim, jakim się sposobem psuje i doskonali. Dobroć smaku polega na „czułości

(t. j. wrażliwości), delikatności i trafności. „Bez czułości niemożna napisać dzieła, któreby czytelnika przywiązywać mogło; bez delikatności trudno za tę mierną wystąpić dobroć, która ekliwości może nie sprawia, ale zadziwić pewno nie zdoła; bez trafności niepodobna nawet oszacować przedsięwzięte dzieło, ani przeto wiedzieć, w jakim go wystawić kształcie.“ Podając te trzy przymioty zarówno twórcy jak krytyka, sam siebie Szymanowski najlepiej odmalował; nie wspominał bowiem nic ani o natchnieniu, ani o wiedzy, ani o sile. W odpowiedzi na pytanie, jak się smak doskonali i jak psuje, autor poprzestaje na ogólnikach, mówiąc, że trzeba go kształcić „stałem pilności dołożeniem“, że potrzeba rzeczy widziane i czytane ciągle porównywać z wyznaczonym „doskonałości wzorem“, że potrzeba strzedz się, „żeby chcąc w najwyższym punkcie subtelnej dopiąć delikatności, w próżną nie wpaść wykwinność.“ że potrzeba przyzwyczajać rozsądek do pilnej nadszedeł dziełem uwagi i t. p. Z pomiedzy tych ogólników wyróżnić należy jedną trafną uwagę, o której klasycy nieraz zapominali, a którą romantycy aż nadto często na pierwszym kładli planie. Streszcza się on w zdaniu, że pierwsi powstały doskonałe dzieła, zanim utworzono prawidła, że te prawidła były wprowadzone właśnie z dzieł doskonałych. Ztąd wniosek, że można ustalone choćby przez Arystotelesa prawidła przekroczyć, a jednak utworzyć rzecz piękną. Zdaniem Szymanowskiego, „rozsądek, powtarzany zwłaszcza zmocniony uwagą“, wskaże niezawodnie okoliczność, w której można z takiej wolności skorzystać; bo „zbyt skrupulatność jest nieczemnością smaku i w tych pospolicie znajduje się ludziach, którzy brak przymiotów, od natury sobie odmówionych, pracując chcąc zastąpić nauką, mniemają, że wyborne doskonałe dzieło, kiedy najmniejszego w nich nie uchybili przepisu.“ Nie robiąc tu nacisku na rozsądek, który jakoby mógł wykazać, gdzie można zaniechać prawideł, gdy to robi zazwyczaj geniusz lub wielki talent, można twierdzić, że ostatnią uwagę o bezwocnem zachowywaniu reguł, powtórzyć miał niebawem Brodziński.

II.

Krytyka pseudoklasyczna w XIX-ym w.

Stanisław hr. Potocki († 1821) był wielbicielem Szymanowskiego, retorem o płynnej swadzie, nazywanym przez współczesnych „książęciem mówców“, nowych myśli o krytyce nie wygłosił, choć napisał dwie o niej rozprawy (w r. 1811 i 1816); poprzestał tylko na zsumowaniu i rozszerzeniu tego, co powiedzieli: Czartoryski, Krasiński i Szymanowski. Krytyka tedy jest „logiką dobrego smaku“, dąży do udoskonalenia dzieł piśmiennych, porównywa je do piękności z drugimi i „właściwe im stopnie naznacza.“ Krytyk powinien postępować jak prawy sędzia, nie roszcując sobie prawa do rozstrzygania wszystkiego; ma rozstrząsać zarówno wewnętrzną, jak zewnętrzną stronę dzieła, bo „słowa są kształtem, myśli — duszą“, ale „jako dostojna uroda ciała uprzedza nas na pierwszy widok, nieczemna odraża, tak też w dziele każdym styl jego naprzód nas przywiązuje lub odpycha; lecz jako przymioty duszy nie są konieczne przywiązaniem do kształtności ciała, tak też nie zawsze dokładność i dobór myśli towarzyszy ujmującemu stylowi.“ Rozważając tedy dzieła, krytyka daje pierwszeństwo tym, „w których słowa z myślami, to jest styl z rzeczą są w tym doborze i harmonii, jaką połączenie piękności fizycznej z moralną sprawuje, a innym właściwe po nich naznacza miejsce, czyli styl jest celną ich ozdobą, czyli głębokość myśli przeważną zaletą.“ Krytyk powinien mieć dokładną znajomość przedmiotu, o który idzie, „doskonale rozsądek i wielką nawiąłość rozbioru.“ W literaturze, wyjąwszy scenę, wieki nasze nie przeszły dawnych,

a w wielu razach nawet im nie wyrównały; ztąd zarówno dla twórcy, jak i dla krytyka potrzebną jest dokładna znajomość wielkich pisarzy starożytnych. Człowiek „do nich nawykły, ich duchem przejęty, z nimi wszystko porównyując i na ich mierząc stopę, nie obłąka się w sądach swoich, a zapewnione ich prawidła zmieniają się dla niego, przez długie nawyknienie, w niemyślne uczucie smaku dobrego.“

Sama teoria krytyki nie była tak bardzo zła, lecz jej zastosowanie w rozbiórach naszych pisarzy przez Potockiego było bardzo słabe. Wychodząc z tej niesłusznej zasady, że „te jedynie dzieła są krytyki, które zasługują na pochwałę,“ zapełnił swoje analizy dzieł znakomitych, między które zaliczył także „Świątynię Wenery w Knidos“ hiperbolicznymi, a ogólnikowymi dowodami uwielbienia, co zresztą potem wyszydził Mickiewicz w słynnej przemowie „do krytyków i recenzentów warszawskich.“

Ludwik Osiniński († 1838) uchodzi powszechnie za klasyka najczystszej wody, czciciela wyłącznego teorii i twórczości francuskiej. Niezupełnie tak było w rzeczywistości. Wielbił on poezję grecką i rzymską, lecz nie był zaślepionym jej chwałą; uznawał postęp, przywiązał się do literatury francuskiej, której arcydzieła dramatyczne na język nasz przekładał, lecz już w r. 1809, w mowie na cześć Franciszka Ksawerego Dmochowskiego w Towarzystwie przyjaciół nauk wypowiedzianej, przyznawał, że „poeci angielscy, dalecy od naśladownictwa, pełni często oryginalnych obrazów, a w samych zboczeniach z ubitego śladu *wielcy i nieporównani*, zdolni byli pociągnąć do siebie całą moc żywego umysłu.“ W Towarzystwie Ixów, które po wspólnych naradach dawało sprawozdanie o sztukach teatralnych od r. 1814 do 1819, znane były odczyty Augusta Wilhelma Schlegla o literaturze dramatycznej, a chociaż Osiniński do towarzystwa tego jako dyrektor teatru nie należał, mógł się przeciw zarówno z rozmowy, jak z recenzji dowiedzieć o tych odczytach, poznał je i w prelekcjach swoich o literaturze powszechnej, miewanych w uniwersytecie warszawskim od r. 1819, bardzo dużo z nich i to jawnie, wymieniając nazwisko autora, korzystał. Jakkolwiek szanował prawidła, ale tak samo jak Szymanowski, „płonemni“ nazywał ich zachowanie bez daru twórczego. „Sztuka bez geniuszu—mówił—nie wyda znakomitych utworów, lecz geniusz nie może się obejść bez pomocy sztuki, bo ona sama dziełom jego ostateczne znamię doskonałości nadała.“ Za dowód tego twierdzenia „najjawniejszy“ uważa Szejkspira. Podziwia on jego geniusz, szeroko się rozwodzi nad celniejszymi jego utworami, lecz twierdzi, że gdyby Szejkspir znał sztukę, „doskonałość byłaby niewątpliwym jego udziałem.“ Występował też przeciwko mniemaniu Jana Śniadeckiego (nie wzmiankując go imiennie), jakoby dzieła Szejkspira były „szkołą potworów i dziwactw;“ a ostateczną swą ocenę formułował bardzo przychylnie, jak na zwolennika klasycyzmu francuskiego, przychylniej niżeli Wolter: „Szejkspir, porównany z czasem, w którym żył, zadziwia; czytany obok hiszpańskich pisarzy, jest nadzwyczajnym człowiekiem; oceniony obok Kornela, nie utracą wzniosłości geniuszu.“

Nie był to zatem tak zakamieniały w raz przyjętych poglądach umysł, jak jego przyjaciel Kajetan Koźmian, robił ustępstwa na rzecz nowych myśli; trudnoż go winić, że nie przyjął ich całkowicie. Pisał pięknie, nieraz dowcipnie; jego krytyka tragedii „Gliński“ Wężyka, dziśby jeszcze mogła być powtórzona bez zmiany wyrazu, gdyby sztukę tę na scenie wznowiono.

Euzebiusz Słowacki († 1814), najlepiej ze wszystkich naszych krytyków pseudo-klasycznych znał literaturę staropolską i najwięcej pozostawił rozbiórów pisarzy z owej epoki; nie były to co prawda krytyki systematyczne, raczej uwagi czynione mimochodem przy czytaniu; autor baczył pilnie na język, styl, figury retoryczne, lecz nie zaniedbywał bynajmniej strony wewnętrznej dzieła, spełniał w rzeczywistości to, co Potocki

teoretycznie innym zalecał. Znał on już także teorie estetyczne Niemców i niejedną z nich myśl przeniósł do swoich pism i wykładów w uniwersytecie niemieckim. On idąc może w ślad za Karpińskim, położył nacisk na znaczenie uczucia połączonego z imaginacją, chociaż bynajmniej nie odrzucał rozważań i rozsądku. On podobno pierwszy u nas opisał „widzenia“ poetyckie (hallucynacje), mówiąc o „geniuszu:“ „Wszystko, co go otacza, mocniejsze na nim czyni wrażenie, wszystko go zapala i unosi. Gdy się czym zatrudnia, nie przypomina sobie rzeczy, *ale je widzi*; nie przestaje na ich widzeniu, *ale się nimi wzrusza i zachwyca*; wpośród milczenia i osobności swego mieszkania, *widzi* wesołe i kwieciste pola, bujnym płonem okryte role, albo posępne i głuche pustynie, czarne skały i niebu grożące góry; *słysz* przyjemne ptaków śpiewania, albo zachwycającą harmonię niebieskiej muzyki, lub świst przeraźliwy wichrów, grzmoty piorunów i ryczenia morskich bałwanów. Imaginacja człowieka pospolitego wystawia mu wprawdzie te wszystkie obrazy, ale geniusz tylko *widzi je* odbijające się w głębi swej duszy, *czu* się nimi, *trwoży, weseli albo zasmuca*.“ Słowacki też pierwszy u nas mówił „o wzorze *idealnym*“, czyli jak my dziś mówimy o ideale pięknym, który dawniej pod nazwą „doskonałości“ się ukrywał. Uznawał „smak,“ uznawał jego prawidła, ale i zagorzali nawet romantycy mówili przeciw odczuciu „zasadach“ piękna. Zapewne jest różnica w użyciu odmiennych wyrazów, lecz gruntu rzeczy to nie zmienia. Smak, według Słowackiego, jest „uczuciem wewnętrznym, obudzonem przez działanie zmysłów, którego zaród w nas się może i powinien doskonalić przez ćwiczenie, naukę i nałóg porównywania; jest władzą duszy, złożoną z imaginacji i rozważań. Smak bowiem nietylko się przywiązuje i odstręcza od dzieł sztuki dla tych własności, które się rzeczywiście w nich znajdują, *ale nadto czuje te, które z niemi imaginacja łączy*. Składa się jeszcze z rozważań; bo chociaż sąd jego jest szybki i prawie jednoczesny ze zmysłowym pojęciem, niepodobna jednak, aby go krótka nie poprzedziła rozważa. Co jeszcze osobliwsza, Słowacki pod wpływem estetyków niemieckich, był bliskim hasła *sztuki dla sztuki*; nie wygłosił go, bo go praktyczna polska natura powstrzymała; ale w określeniu piękna poszedł za niem całkowicie, gdy mówił: „pięknem jest to, co się nam podoba przez swój kształt, postać i własności bądź zewnętrzne, bądź wewnętrzne, *choćby przedmiot nie miał w sobie nic takiego, co by go w innych względach pożytecznym czynić mogło* i choćby nam prócz wewnętrznego ukontentowania żadnej innej nie obiecywał korzyści.“

W określeniu znamion krytyki powtórzył Słowacki za Szymanowskim znane już nam trzy właściwości „smaku,“ uwydatniając pierwiastek *indywidualny*: bo, jak powiada, „krytyka, która za prawo bierze mniemania i przykład drugich, prowadzi nas do uwielbienia nie tego, co jest prawdziwie godnem, ale tego, co jest nowem i wziętem;“ krytyk więc musi mieć w sobie samym „pewne i niemyślne prawidło,“ to jest smak wyrobiony.

Z tego przeglądu krytyki pseudo-klasycznej widzieć można, jak ona powoli dochodziła do coraz wyraźniejszego uświadomienia głównych czynników twórczości: uczucia, wyobraźni i nastraju indywidualnego. Mówiąc wciąż o prawidłach, usuwała kolejno ich podstawy, zawarte w stężonych i przestarzałych już przepisach.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Wszystko mi jedno.



Wszystko mi jedno,

Co wtenczas, gdy umrę,—

Gdy wieko śmierci spadnie na mą głowę

I gdy żelazem zaśrubują trumnę —

Powiedzą o mnie ludzie.

Wszystko mi jedno!

Czy nad grobem moim

Stać będzie kamień z natchnieniem rzeźbiony,

Nęcący pięknem i artyzmem swoim —

Czy kupa gruzów—mijana ze wzgardą!

Wszystko mi jedno!

Czy łzy — uwielbienia—

Będą szły za mną szczere i prawdziwe,

Czy też udane przyjaciół westchnienia —

Czy — śmiech szyderczy!

Oh! wszystko mi jedno!

Wiem... że zapomnienie

Przychodzi prędko... jak słońce po burzy—

I że umarłych—straszą nawet cienie

Gdy niespodzianie... zajrzą nam w głąb duszy!

Tak! wiem to wszystko!

I tyłkobyć chciała...

By syn mój—drogie me dziecko —

Słodkie wspomnienie o mnie zachowało —

By mnie kochało—i na tamtym świecie —

Czasem... z tęsknotą szukało!

Tego bym chciała!

I żeby czasami,—oblicze matki powitał ze łzami —

Ale nie strachu... nie drżenia...

Jeno jako pieśczołę—którą mu zaniosę od Boga!

Mówiąc mi wtedy: matko moja droga!

I aby pamiętał,

Że ja go wciąż widzę—strzegę i kocham,

A złem—że się brzydzę!

Oh! I jeszczebym chciała, czasem, bez szelestu

Zstąpić mu w duszę—i pieścić i tulić,

I imię Boga szeptać niewidziana,

I być przez syna mego rozumiana —

I miłością, która jest tarczą dla dziecka, kochana.

P. Zieleniewska.

Kazimierz Głiński.

KRZYWDA

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

III.

Dwaj synowie.

Drapiąc się w głowę, przeciągając i ziewając szeroko, opuszczali parobcy swoje słomiane łóża, jeden tylko karbowy siedział już na schodkach furty przy wrotach, prowadzących do gurni i czekał na przybycie pana. Spostrzegłszy idącego, podniósł się i uchylając czapkę, pozdrowił:

— Niech będzie pochwalony.

— Na wieki.

— Żle, proszę pana—(jasnym się nie pozwolił pan Hipolit nazywać)—na ten rok potrzeba jeszcze ze dwieście morgów zorać, co by pod wiosnę było mniej zachodu, a tu ślota, ślota!

Hipolit spojrział na niebo.

Szaro jeszcze było, perłowa mgła wypełniała półkulę niebieskiego sklepienia, drobnutki deszynek pruszył nieustannie. Dostrzedz jednak można było powolny bardzo ruch chmur, mżawkę cieniów przesuwających się nieznacznie.

— Około południa wyjaśni się, — rzekł Grudowski.

— Dałby to Pan Bóg miłosierny, — odpowiedział karbowy, którego Czubińskim zwano.

— Mamy dziś dwudziestą trzecią Września, — ciągnął pan Hipolit; — na stałą słotę zawczasie jeszcze, cały Październik ciepły i słoneczny być powinien, a nasza jesień jest zawsze przypomnieniem wiosny. Mam nadzieję, że wszystko na czas skończymy, choć z rokiem każdym przybywa wciąż roboty... Nakryj głowę Czubiński, przecie deszcz pada, — zwrócił się do karbowego, który z czapką w rękę stał przed panem.

— Nic to, przyzwyczaiło się, — odpowiedział gumieny, — ale, jeżeli pan pozwolenstwo daje...

Skłonił się i czapkę nałożył.

Zbliżali się do obór i owczarni, z których wnętrza słychać było ryki krów i beczenie owiec. Błady świt przedzierał się przez mgły, bydła dopominały się o napój i strawę.

— Wiesz co, Czubiński? — rzekł nagle pan Hipolit.

— Co, proszę pana?

— Myślę, że nam dwóm tylko za ciężko będzie nadal już radzić sobie. Gospodarstwo powiększyło się w dwójnasób prawie, gruntu ornego, po wykarczowaniu znacznej części lasu, przeszło trzyście morgów, nieużytki przerobiliśmy na łąki i pastwiska, zarybiły się stawy, pasieki do tysiąca ulów już mają, do tego gospodarstwo mleczne i sadownictwo—to wszystko, razem wzięte, wymaga więcej oczu, niż naszych czworo. Przez długich lat trzynastu napracowaliśmy się z tobą, Czubiński, póty! Nie mogłem ci zasług podwyższyć, bo wiesz, że i sam w rozkoszach nie opływałem. Dochodów nie było żadnych, musiałem pożyczać pieniądze i w ziemię kłaść wszystkie. Były chwile, w których myślałem, że wszystko dyabli wezmą, a trud lat długich zostawi po sobie tylko wspomnienie bezcelowej pracy. Inaczej Bóg chciał. Dziś Górki i Piaski Grudowu i Dziadyszkom nie ustąpią,—dziś mogę ci podwyższyć zasługi, jak i tym wszystkim, którzy wraz z nami nieprzerwanie dzielili ciężar pracy—i jeszcze pomocnika wziąć sobie.

— Pan o rządcy, czy ekonomie myśli?

— To wszystko jedno, byleby człowiek był uczciwy, znał się na gospodarstwie i więcej był moim przyjacielem niż sługą.

— Ja także, proszę pana, dumam, że już nam pomocnika potrzeba. Roboty często, strach—ile! jak w garneczku kipi, a tu prosto rozpacz bierze. Człek by się chciał rozerwać, kiedy nie może. Nie wadzi ekomon jaki, byle stateczny a praktyk, a co do mojej płaty, proszę pana, to jak łaska: można więcej—to i owszem, nie—pretensji nijakiej. Dobrze słowo lepsze czasem, niż pieniądz, proszę łaskawego pana.

Zdjął czapkę i pokłonił się panu Hipolitowi.

— Znam ciebie pocziwcze, ale, widzisz, teraz mogę.

— No, to i oporu nima, — odpowiedział Czubiński.

Przeszli na folwark, gdzie w całej pełni wrzało już życie. Wysoki żóraw nad studnią skrzypiał nieustannie, podnosił się, to opadał i napęniał wodą żłób długiej, przy którym tłoczyły się konie robocze; słychać było nawoływania parobków, podniesiony głos starszego i kwik wlaźliwych świnek, z którymi piekarniana gospodyni rady dać sobie nie mogła. Żarłoczne stworzenia wlażyły z nogami do przygotowanych im koryt z jedzeniem, rochały, wyrzucając ryjami otręby, nieraz wywróciły koryto, za co ich spotykała bolesna admonicya od rozdrażnionej karmicielki i bezsilna klątwa na ród kłapouchych rzucona. Pani Szabrowska była przy udoju krów. Tu i tam cykanie było słychać, wypełniały się donice białem a tłustem mlekiem, które następnie przez płótno i liście pokrzywy zlewano do wielkich cebrów. Dojarki raz wraz musiały bój staczać z cielętami, gniewnymi za odbieranie im pokarmu, ale czynna pomoc pani Szabrowskiej zmuszała cielaki do posłuszeństwa. Otyła a energiczna gospodyni jednym kopnięciem kolana odrzucała precz dwuletniego byczka, który zdziwionymi patrzył na nią oczyma, nie chcąc już nadal staczać walki z pokromicielką.

— Kiedy zaś, to zaś—mówiła, grożąc palcem porykującemu smutnie byczkowi.

Hipolit, oddawszy dzień dobry Szabrowskiej do stajen zawrócił.

— Jeżeli można, to ja panu coś powiem, — odezwał się po pewnym czasie Czubiński.

— Słucham.

— Zna pan Kałynę?

— Tego, co rok rocznie ziemię wynajmuje pod kasztany u grafa Brzeskiego?

— A tak!

— Więc?

— Graf swój majątek sprzedał.

— Sprzedał? nie nie wiedziałem o tem.

— Kałyną mówił, co sprzedał i rozliczył się z Sochackim, co u niego dwadzieścia lat gospodarował. Sochacki to praktyk i uczciwy, co daj Boże, amen! o dobro cudze więcej dba, niż o swoje—to wiadomo! Możeby do niego trafić?

— Sochacki?... Poczekaj!... A, wiem, wiem!... Gospodarz znany, uczciwy człek... Wiem, wiem! Słuchaj, Czubiński, tej sprawy do jutra nie chciałbym odkładać. Człowiek taki, jak on, zdaje się, że mający i rodzinę, bez miejsca długo nie będzie pozostawał. Trzeba by o tem pomyśleć i to prędko.

— Jeżeli pan da pozwolenstwo, — rzekł gumieny,—to ja dziś, choćby i zaraz, bo roboty z powodu tej słoty nie wiele mamy, pojedę do Sochackiego. On u pana ostatek z większą ochotą, niż gdzieindziej, bo pan umie człowieka uszanować.

Rada, podana przez Czubińskiego, została chętnie przez pana Hipolita przyjęta. Ani w polu, ani na toku z powodu złej pogody żadnej, nie mogło być roboty, Czubiński więc bezkarnie mógł jechać.

Obszedłszy gospodarstwo, Hipolit powrócił do domu. Znowu go podrażniła cisza, znowu się zwrócił do zegara.

— Nie, mój przyjacielu, — rzekł do siebie,—tak być nie może.

Zdjął go, ułożył w pudło i kazał Czubińskiemu parę staj do miasteczka zboczyć, gdzie mieszkał Judka, sławny na całą okolicę zegarmistrz.

Senny był, głowa mu ciężła kamieniem. Po wieczorze wczorajszym, który, zdawało mu się, że będzie przełomowym w jego życiu, że wielką pokorą i cierpliwością skruszył łód obojętności matczynej; po radości nadmiernej i zbyt szybkim rozczarowaniu czuł się dziwnie rozbity i jakby na wszystko zobojętniały. O tem, co przeszło, myśli z niebywałym dotąd spokojem. Nic go nie targa, nie męczy, drażni go tylko ta cisza ścian; wzrok mimowoli podnosi na hak, gdzie wisiał zegar. W tej chwili ten zegar więcej go obchodzi, niż z wylupiającymi oczyma panna Maryanna, jej marmotanie, a nawet zdecydowana niechęć ku niemu pani Karoliny. Myśli o Judce i jego kunszcie. Kukulka miała nieco głos ochryply, drzwiczki, przez które wychylała się, skrzypiały. To wszystko Judka poprawi i odmłodzony ptak dźwięczniejszym głosem ze ścian tych odezwie się, a drzwiczki bez skrzypienia otworzą się. Tarczę wahadłową, zczerniałą od lat, pewnie oczyści mieszaniną kredy i spirytusu, a może czem innem. Są do tego rozmaite smarowidła. Sawko do samowara używa jakiejś brunatnej maści, którą mu Czubiński z miasteczka przywozi—i samowar błyszczy, jakby tylko co wyszedł z rąk fabrykanta. Tak samo będzie świeciła i tarcza przy wahadle. Zdaje mu się, że już ją widzi, jak jasna, błyszcząca chwieje się w lewo—w prawo—w lewo—w prawo... „tik—tak“ jeszcze, jeszcze i jeszcze... „tik—tak—tik—tak.“

I roztopiło się wszystko, rozpląnęło się w mgłę jakiejs—

Pan Hipolit, zanurzony w głębokim fotelu, spał snem twardym.

Nie wiedział, jak spał długo, czy spał nawet. Zbudził go szelest w przyległym pokoju i kroki czyjeś.

Podniósł głowę i spojrział w drzwi...

Na progu stała Franka, garderobiana pani Karoliny.

— Co tam?—zapytał Hipolit.

— Pani prosi pana,—odpowiedziała dziewczka. Grudowski zerwał się z siedzenia i szybkim krokiem, przez kurytarze, udał się do pokoju matki.

Wczorajsza wizyta, dziś to wezwanie: dwie niespodzianki naraz.

Po zakończeniu jednak wczorajszego wieczoru nie spodziewał się już nic dobrego dla siebie, nie przypuszczał (choć i ta myśl chwilowo w nim się zrodziła), żeby matka czemkolwiekbaż chciała w umyśle jego zatrzeć doznane przykrości. Niech nawet się uśmiechnie, już temu uśmiechowi nie uwierzy; on zapomnieć nie może tego wytarcia ręki batystową chusteczką, tego obojętnego „dobra noc“ przy nieodwróceniu oczu od listu Henryka. Komedya czułości byłaby stokroć wstrętniejszą, niż obojętność bez maski. Niech wszystko zostanie tak, jak jest—a lepiej im obojgu będzie bez złudzeń żadnych, bez żadnych udawań.

Szedł krokiem pewnym, jakby wyzywającym, a gorycz zalewała mu usta. U drzwi jednak mieszkanka matki spokorniała,—czekał chwilę, nim ośmielił się zastukać.

— Hipolit?—odezwano z wnętrza.

— Tak, mam—ja!—odpowiedział.

— Przecie prosiłam, wejść możesz—

Pan Hipolit przestąpił próg i szedł do matki, chcąc pocałunek na rękę jej złożyć.

— Froszę cię, usiądź!—odezwiała się pani Grudowska, nie pozwalając mu podejść do siebie.

Hipolit zatrzymał się w pół pokoju, ale musiał usiąść, by zadość uczynić powtórzonemu, mimicznemu już tylko rozkazowi, Pani Karolina zajęła krzesło opodal, nieco bokiem zwrócona do syna i nie patrząc nań wcale, suchym odezwiała się głosem:

— Zechciej mi wytłumaczyć, co znaczyło wczorajsze twoje znalezienie się z Maryanną?

Pan Hipolit nie spodziewał się tego zapytania.

— Co znaczyło?—powtórzył.

— Pytam wyraźnie—odpowiedziała pani.

— Niech mi mama pozwoli na to pytanie nie odpowiadać, to już jest rzecz moja. A jeżeli

zrobiłem pewną uwagę pannie Maryannie, to widocznie zasłużyła na nią.

Pani Karolina kołysała się w krześle, uderzając lekko stopą o posadzkę.

— Maryanna jest obrażoną.

— Mało to mnie obchodzi.

— Chciałabym, ażebyś ją przeprosił.

Pan Hipolit zerwał się z krzesła.

— Co? ja mam przepraszać? A—niechże ma tego przynajmniej ode mnie nie wymaga. Nie chcę mówić, co mnie spowodowało do wczorajszego postępków, ale żadnej pannie Maryannie i nikomu—nie pozwolę drwić z siebie. Tego zawiele! Mama mnie zna i wie dobrze, że jestem łagodny i miłujący.

— Dziś bym tego nie powiedziała,—odrzekła sucho Grudowska.

— Dziś, dziś, gdy mam serce, o tak—zszarpała!—zawołał pan Hipolit.

To mówiąc, silnym ruchem rąk rozdarł chustkę, którą wyjął przed chwilą.

Pani Karolina przyłożyła palce do uszu, Hipolit podbiegł do niej i do kolan się rzucił.

— Przebac, mateczko, przebac,—szepnął.—Ale ty nie wiesz... Nie! ty wiesz, tylko nie chcesz wiedzieć... Co ja gadam?—zawołał wstając.—Doprawdy, głupiec jest ze mnie... Nie gniewaj się, mam—ale...

Umilkł na chwilę.

— Za ciężko mi jest na świecie,—dokończył.

Obrócił się szybko i, chwiejąc się, wyszedł z pokoju.

Po chwili panna Maryanna pokazała się w drzwiach buduaru.

— Czy pan Hipolit podpisał sobie?—spytała.

— Maryanno!—tonem uwagi odezwała się pani Karolina.—Za wiele sobie pozwalasz!

Głos i spojrzenie pani, zmieszało pokojówkę.

— Trzeba być uważniejszą,—dodała łagodniej,—nie można tak... Zawsze to dom pana Hipolita.

— Albo ja jemu co zrobiła, czy co?—tłumaczyła się Maryanna.

— Wiem o tem, ale ty—ty trochę masz język za długi.

Ruchem głowy znak dała, by wyszła.

Zostawszy sama, rozmyślać zaczęła:

„Jednak Hipolit czasami unieść się może, a rozdrażniony, na swoim postawić. Tego nie spodziewałam się po nim. Nie podoba mi się także to wspomnienie jego o życiu, które mu ciężko zaczyna. Nie innego, jak tylko starokawalerstwo miał tu na myśli. Hm—to źle!—gotów jeszcze do Matyldy powrócić, a on się nie powinien żenić, powinien się poświęcić dla honoru nazwiska swojego. To trudno! rozdrobniona fortuna Grudowskich musi się skupić, zlać znowu, nie rozdzielać się jeszcze bardziej. Już się Henryk żeni i oczywiście dzieci mieć będzie, a niechże i ten (nie daj Boże) ożeni się i także ma dzieci... Ładna historia! na chudopachółków Henrykowie zejdą. Jeden z dwóch poświęcić się dla idei powinien... Który? rozważmy bezstronnie.“

Z sumy marzeń, po chwili namysłu, wypadł taki wynik.

„Henryk młodszy, Henryk piękniejszy, Henryk obraca się w kole towarzyskich stosunków, zna go każdy zakątek kraju, w udziale mu i Grudów przypadł, owe prastare gniazdo rodziny, a wreszcie—Henryk już pomyślał o swoim losie, żeni się, za rok będzie miał syna.“

„A teraz Hipolit.“

„Możnaż pomyśleć o nim, jako o przedstawicielu rodu? Gdzie wykwić, gdzie elegancja w tych ruchach rubasznych? Jakież kobiecie z wyższego świata podoba się ta pochyłość ramion, a choćby wasy, noszone na sposób ekonomiczny? Skóra spalona, ręce zgrubiałe, czoło prawie codziennie oblane kroplami potu—a już poprostu wstępną wzbudza ten pas biały, przez pół czoła idący, szczególnie podczas letnich upałów, gdy, jak parobek, dni całe na słońcu spędza i na węgiel się pali.“

„Hipolit okropnie schłopiał... Poprawa gruntów Górek i Piasków zajęła mu długich lat trzynaście, a to dość, by o dobrych manierach zapomnieć... Stosunków nie ma żadnych—wiem

przecie gdzie bywa i kto u niego bywa. Zdziwił i odzwyczaiał się od ludzi. To też czasem jak okradziony wygląda, zdaje mi się nieraz, że, gdyby stąpił na froterowaną posadzkę wielkich salonów, posłizgnąłby się natychmiast.“

Uśmiech lekceważenia przemknął przez usta pani Karoliny. Przed oczyma jej zarysowała się postać pana Hipolita tak brzydka i niezgrabna, że wszelka myśl o możliwości ożenienia się starszego syna o sto mil od niej odbiegła.

„Hipolit zresztą o tem nie myśli—marzyła dalej—sam tylko z Czubińskim ogromnem zajmuje się gospodarstwem. Ażeby wszystkiego własnym okiem dopatrzeć, w stu miejscach rozrzuconej roboty dopilnować—na to niemal dnia mało. Zkądże mu wziąć czas na poznanie się, bywanie, uśmiechy i czułe westchnienia?“

„Hipolit i czułe westchnienia!“

— Cha, cha, cha,—zaśmiała się dość głośno pani Karolina.

Nagle, rozjaśniona twarz marzeniami, spoważniała, a znana dobrze bruzda zarysowała się wzdłuż czoła:

„Hipolit jest prostak, Hipolit niema manier towarzyskich, Hipolit nie jest zdolny podobać się żadnej kobiecie—ale Górki i Piaski dziś już wartością swoją przewyższają Grudów i Dziadyszki, ale zalesienie przed niedawną pustych obszarów wciąż postępuje, gdy w folwarkach pana Henryka coraz więcej łysin się pojawia. Do Górek i Piasków dziś uśmiecha się już panna Rybianka, bądź co bądź, panna z posagiem, a ileż to innych jeszcze pokus rozciągać może swe sieci przed panem Hipolitem? Szczęściem tylko, że on jest tak bardzo nieśmiały i mało dbający o siebie. Nie zamysła też zmieniać trybu życia, sam jest wszędzie: w oborach, stodole i na polu. Nie jednego, lecz dwóch rządów wymagałoby gospodarstwo takie, tymczasem o nich ani wspomnienia niema. Hipolit przyzwyczaiał się już do ekonomicznego życia, a im dalej w lata się zachodzi, człek staje się leniwszy, ociężalszy, coraz mu trudniej od pewnych odzwyczaić się nawyknień. Hipolit nie powinien się żenić, nie może się żenić i nie ożeni się wcale!“

Tak pocieszała się matka pana Hipolita

Jakkolwiek rzadko bywali u siebie, widywała syna codziennie: wyjeżdżał na pole, lub wracał z pola. Dobrze zresztą wiedziała o jego sąsiedzkich stosunkach, które znów najmniejszą obawą napawać jej nie mogły. Przed ganek pani Karoliny raz wraz prawie zajeżdżały powozy, nie było tygodnia, w którymby i pani Grudowska z wizytą nie wybrała się. Czwórka gnidoszów była niepodzielną własnością pani Januszowej, do której pan Hipolit o tyle się wtrącał, o ile rzecz szła o owies i opłatę stangreta. Sam zaś jeździł fornalskimi końmi, a innego powozu dla siebie, krom bryki, nie miał. To także znak dobry: Grudowski w konkury nie jeździłby bryczką.

Nawiedzający sąsiedzi prawie nie dawniej nie wspominali o panu Hipolicie—od pewnego jednak czasu zaczęli się nim zajmować.

— A dla czego to syn pani nigdzie nie bywa, czy godziło się tak zerwać z nami i zamknąć się wśród czterech ścian tylko? Zakopał się, ale teraz już mógłby odkopać się i użyć trochę światła. Później, to coraz trudniej już będzie z samotnością zerwać, przyzwyczajenie staje się drugą naturą—a starokawalerstwo toć to nie dla pana Hipolita, gdy majątek, jak złoto, a o grosz kłopotu już nie ma.

Tak więc pani Karolina wiedziała wszystko, co wiedzieć chciała o swoim pierworodnym. Upływały lata, a on nie zmieniał trybu życia, pochyłał się trochę, starzał widocznie—pani Karolinie zdawało się nawet, że w stroju zaniedbywać się zaczął.

Te wszystkie uwagi i rozważania uspokoiły ją o tyle, że z czoła bruzda zeszła, a twarz większym spokojem spójrzała.

Tymczasem pan Hipolit, opuściwszy buduar matki, wrócił do siebie, ale niedługo bawił. Nieznośną mu była ta cisza, która go otaczała wsząd. Wdział więc kubrak, czapkę na głowę

nałożył, nahał do ręki wziął i kazał Sawce, by mu konia osiodłało.

Wyszedłszy przed dom, doznał miłego zdziwienia: Mgły opadły, chmury się rozproszyły, a dobre słońce, złotą, choć załamioną jeszcze żrenicą na świat patrzyło, rzucając jasne i dziwnie ciepłe promienie. To światło i to ciepło dziwnie dobrze oddziaływały na pana Hipolita. W porę mu przyszła myśl przejażdżki konnej—objedzie pola, łąkom się przypatrzy, a nawet się do Piasków dowie, które w oddaleniu wiorst czterech od Górek leżały.

— Na obiedzie nie będę,—rzucił Sawce.

— Kiedy już zadysponowany, proszę pana.

— To zjedz sam!

Wsiadł na koń i prostą drogą do Piasków ruszył.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Jeszcze słówko o Józefie Naprstkowej.

Gdy w roku 1891 odbywała się wystawa przemysłowa w Pradze, spieszyli tam ciekawi ze wszystkich stron. Robiono także wycieczki ze Lwowa. Liczna drużyna pań zebrała się również do Pragi na wystawę. Jakąż miłą niespodzianką było dla nas, gdyśmy na dworcu kolejowym spotrzygli oczekujące nas panie czeskie wśród ogromnej liczby ludności. Wsiadłszy — i zasypał nas deszcz kwiatów. Okrzyki powitalne wznosiły się co chwila. Komitet pań tak zwanego „Amerykańskiego klubu“ — zajął się przewiezieniem nas do wyszukanych lokali, na czas pobytu naszego w Pradze. Na czele komitetu stała osoba około lat pięćdziesięciu, wysoka, szczupła, ubrana skromnie, w okrągłym, wiązonym kapeluszu. Dostałam wtedy od drużyny naszej polecenie przemówienia do niej, jako do przewodniczącej komitetu. Mówiłam po polsku, wyrażając wdzięczność za uprzejme ich zajęcie się pobratymczymi gośćmi, t. j. nami.

Pani Naprstkowa, przewodnicząca, dawała co kilka zdań znak głową, że rozumie, chociaż językiem polskim niewładała—a gdy skończyłam, przemówiła do nas mniej więcej w te słowa po czesku: Dzień ten i chwilę, w której was, siostry nasze, Polki, powitać możemy, uważamy za bardzo szczęśliwy, a widząc was przed sobą, rozumiemy, dla czego tak się cieszyliśmy z Waszego przyjazdu. Witajcie nam, bądźcie jak najdłużej między nami, poznajcie nas i naszą „złotą Pragę“, a owocem tego przyjazdu waszego, niechaj będzie szczere pobratanie się w imię idei słowiańskiej.“ Następnie zawiozły nas panie amerykańskiego klubu do „Czeskiej Besedy“, tam witano całą drużynę polską, przybywającą do Pragi, wyznaczono nam miejsca przy stołach, a przed każdą położono wiązaną kwiatów, przy której znajdował się bilet z jednej strony noszący napis: „Czeski klub dam amerykańskich“, a na drugiej sentencje moralne, na każdym prawie bilecie inna. Znajdowały się tam takie napisy: „Tużme se“ (krzepmy się), „Pozdrav Slovenkam“ (pozdrowienie Słowiankom), całe zwrotki z czeskich poezyj i t. d. Na drugi dzień dnia 2 Lipca zwiedzałyśmy „Muzeum“ państwa Naprstków. Oboje podejmowali nas bardzo gościnnie. S. p. Wojciech Naprstek pokazywał nam każdą salę, z całym zapalem objaśniając wszystko — w końcu zaprowadził nas do małego pokoju, gdzie było trochę starych dokumentów i opowiedział króciutko, że pisma tam znajdujące się i przedmioty pochodzą od jego ojca, który nazywał się jeszcze *Fingerhut*, on zaś dopiero sam przetłumaczył sobie to niemieckie nazwisko na język czeski: *Naprstek*. Szczegół to w wysokim stopniu charakterystyczny.

Ostatnią salą, którą zwiedzałyśmy, była *czytelnia dla kobiet*. Państwo Naprstkowie, pokazując

ją nam, powiedzieli: „tem się chlubiemy.“ I w istocie, mogli się chlubić tem dziełem. Oni oboje przy skrzętej pracy dorobili się milionowego majątku. Bezdzieln, zapelnili sobie życie pracą dla dobra publicznego. Wszystko dla społeczeństwa—stało się ich hasłem. Głowy to były jasne i serca gorące. W jednoci i zgodzie pracowali. Między kobietami pierwsi oni zainicjowali ruch, pobudzili je do pracy, do kształcenia się, do użytkowania korzystnego chwil wolnych. To były pobudki założenia i klubu amerykańskiego, jeszcze w r. 1865 założonego i w tym samym czasie powstałej czytelnicy dla kobiet. Pani Naprstkowa wręczyła mi wtedy fotografię wnętrza czytelnicy, zrobioną w r. 1875 w pierwsze dziesięciolecie jej istnienia. Kilka pań siedziało w czytelnicy; jedne zajęte były czytaniem, inne porządkowaniem, jakaś młoda osoba robiła wypisy z otwartej przed nią starej księgi czeskiej, inna czytała dziennik angielski, dwie zaś cichutko rozmawiały o jakiejś kwestyi, świeżo w czeskiej gazecie poruszonej. Bibliotekarka wyszukiwała książki, które się mieściły na półkach i szafach, zajmujących wszystkie prawie ściany. Ogromne stoły stały pośrodku, mnóstwo obrazów i obrazków zdobiło ściany.

W prywatnem swem mieszkaniu, schludnie a skromnie urządzone, żegnali nas państwo Naprstkowie. Pani Józefa raczyła nas upieczonemi własnymi rękoma placuszkami, serdecznie i z miłą prostotą z nami rozmawiając. W końcu dali nam swe fotografie na pamiątkę. Niezatarcie wspomnienie pozostawiła, zdaje się nam wszystkim, ta wizyta u państwa Naprstków, w założonem przez nich *muzeum* i czytelnicy dla kobiet. Szczególniej utkwił nam w pamięci dział robót kobiecych z czasów dawnych i nowych, strojów narodowych i etnograficznych zbiorów. W małym pokoiku pamiątek po rodzicu pana Wojciecha pozostałych dziś umieszczono urnę z popiołami tego filantropa, jak sobie tego sam życzył. Zwłoki jego spalono w krematorium w Halli. Pani Józefa dalej krząta się około dzieła wspólnie ongi ze zmarłym mężem podjętego, myśl jego zachowuje i wykonywa wiernie, jak dawniej, tak i teraz oddana na usługi swego społeczeństwa w ogóle, a kobiet w szczególności.

Janina S. Aleksota.

RUCH MUZYCZNY.

Fortepian panuje obecnie wszechwładnie w naszym świecie muzycznym w najnowszej dobie. Na widnokrąg w ostatniej chwili na tryumfalnym rydwanie wjechał mistrz tonów, Ignacy Paderewski, który zachwyca na koncertach w sali ratuszowej nieprzeliczone tłumy rozentuzymowanych słuchaczy... O tym wielkim artyście, który daje trzy koncerty w Warszawie, napiszę w najbliższym „Ruchu“, ponieważ dotąd odbył się dopiero pierwszy koncert przepyszny w swoim wyrazie. Paderewski oczarowywa audytorium i wymaga wszechstronnej oceny, gdyż jest wirtuozem olbrzymiej wartości i wyjątkowych przymiotów. Postaramy się zdać na tem miejscu sprawę z wrażenia, jakich Paderewski dostarczył Warszawie,—zanim to jednak uczynimy, wspomnimy o innym pianisie, który o kilka dni uprzedził występ Paderewskiego.

Paderewski—to ranek sztuki, Antoni Kątski—to jej wieczór, ale wieczór pogodny i istotnie bardzo miły.

Na estradzie Towarzystwa Muzycznego zjawiał się osmdziesięcio-paroletni artysta-starzec, pianista, który potrafił jakimś cudownym sposobem zachować siły i zapał młodzieńczy. Antoni Kątski należy do rodziny muzycznej i wybitnie zapisanej w rocznikach sztuki polskiej. Rodzicami jego—jak świadczą pamiątki—byli

Grzegorz i Anna z Różyckich. Familja Kątskich, herbu Brochwitz, pochodzi z Podola, gdzie mieli dobrą Kąty, spowinowacą od w. XVI-go z najznakomitszymi domami: Glińskich, Jordaków, Potockich i t. d. Najznakomitszym z Kątskich był Marcin, margrabia cesarstwa rzymskiego, generał artylerji konnej, wojewoda kijowski, a później krakowski, nakoniec szambelan krakowski, któremu—mówiąc słowami pamiątki—czyny wojenne, również i wielkie czyny obywatelskie niespożyta zyskały sławę. W późniejszych czasach familja Kątskich przenieśli się do Królestwa, a ojciec Antoniego był obywatelem krakowskim.

Antoni Kątski obchodzi w tych czasach, ni mniej, ni więcej—tylko 75-letni jubileusz artystyczny, a pół wieku upływa od czasu, gdy komponować zaczął,—jest więc rzeczywiście nestorem muzyków polskich we wszystkich kierunkach i należy mu się szacunek, wdzięczność i najgłębsze uznanie.

Bracia Kąscy: starszy—pianista, młodszy—skrzypek—przed pół wiekiem błyszczeli na horyzoncie muzycznym nieporównanym blaskiem. Są ludzie, którzy pamiętają jeszcze Antoniego Kątskiego z przed lat 40-tu; wtedy nie był jeszcze siwym, ale ogień w jego oczach jaśniał temi samymi iskrami, co dzisiaj.

Przed pół wiekiem znakomity pianista był już świetnym wirtuozem, posiadającym potężną technikę i umiejacym wydobywać z instrumentu efekty zdumiewające. Współcześni twierdzą, że repertuar Kątskiego w r. 1858-ym składał się przeważnie z klasyków oraz Fielda i Humla. Z romantyków najwięcej upodobał się Webera, co mu do dzisiaj pozostało. Od tych czasów przeszło tyle różnych prądów w muzyce! Świat muzyczny, smak artystyczny, upodobania wykonawców i słuchaczy—zmieniły się radykalnie. Inni ludzie—inne sposoby oddziaływania na nich. Kątski pozostał sobą—i jest dzisiaj chodzącą kroniką muzyczną świata i zabytkiem, godnym podziwu i uwielbienia. Cały świat objechał, wszystkich muzyków znał... Beethovena był uczniem!... To też, gdy się na Kątskiego patrzy, gdy się go zwłaszcza słucha—doznaje się wrażenia najsympatyczniejszego.

Artysta z wyglądu jest starcem, ale skoro siędzie do fortepianu i zacznie grać, słuchacze zapominają o wieku pianisty. Kątski objechał świat cały, grał w Europie, Azji, Ameryce i Australii—powrócił po wielu, wielu latach i zagrał znowu w Warszawie.

Po młodzieńczemu gra ten starzec—wirtuoz Chopina, Beethovena, Händla, Schuberta i Webera; gra i wywiera wrażenie niepospolite: mocą, polotem i fantazją. Utwór po utworze wypływał z pod tych sprężystych jeszcze i wytrzymałych palców. Uderzenie ma dużo miękkości, biegłość jest wyrobiona, jasność gry przejrzysta.

Koncert wypadł świetnie. Tłumy uczestniczyły w tym wieczorze, owacyjnie przyjmując sędziwego, zasłużonego wirtuozą. Kątski wykonał sam cały program.

Po raz czwarty u nas wystąpił z własnym koncertem świetny artysta p. Henryk Marteau, którego indywidualność pełna cech oryginalnych, przypada do smaku każdemu słuchaczowi, lubującemu się w wytwornej grze wyjątkowego skrzypka. Młody artysta czaruje swoim smyczkiem. Jestto gra wykończona niesłychanie subtelnie i drobniawo wyrzeźbiona we wszystkich szczegółach. W całej świetności p. Marteau ukazał się właśnie na tym koncercie, kiedy program wykonał sam jeden; była to interpretacja pod każdym względem doskonała.

Z szeregu koncertów mniejszego zakresu z doby ostatniej, zapisać należy wieczór p. Franciszka Godebskiego, ucznia Francka w Paryżu, syna twórcy pomnika Mickiewicza. Młody kompozytor wystąpił w potrójnym charakterze: twórcy, wykonawcy i dyrektora orkiestry. Talent p. Godebskiego do przednich zaliczonym być nie może; praca jednak artysty i rzeczywiste zamiłowanie sztuki, dobrze względem niego

usposabiają. W kompozycjach napróżno doszukiwaliśmy się nut swojskich: są to utwory, poczęte z motywów obojętnych, zresztą opracowane szczegółowo i starannie. Jako skrzypek, p. Godebski nie wywiera wrażenia. Najlepiej zaprezentował się, jako dyrektor orkiestry; nie mniej, koncert przeszedł blado.

Na estradzie Towarzystwa Muzycznego wystąpiła bardzo utalentowana śpiewaczka francuzka, p. Mary Garnier, która doskonale wykonała legendę z opery „Lakme Delibes'a“ oraz dwie arye Masseneta. Śpiew to stylowy, technika głosu wyborna, całość interpretacji umiejacna, dokładna i sympatyczna. Jednocześnie usłyszeliśmy p. Waelfalghmena, grającego na starym instrumencie, zwanym *Viola d'amore*. Instrument niegdyś czarował podobno słuchaczy, dla nas nie przedstawia dziś żadnego prawie, krom oryginalności—uroku. Solista grał Bacha preludjum, menueta Milandre (z XVII w.) etc.

Również w Towarzystwie Muzycznym mieliśmy sposobność zapoznać się ze świeżo powstałym kwartetem smyczkowym polskim. Należą do niego: pp. prof. Jakowski, Klein, Melcer i Paschalski. Kwartet jak najkorzystniejsze wywołał wrażenie: jest on bardzo dobrze zgrany i zestrojony, a znać dużo w samotności pracował nad sobą, skoro tyle wyrazu w wykonaniu wszystkich utworów się znalazło. Gorąco przyjęto młody kwartet, który może zyskać popularność i rozgłos rzeczywisty. Odegrano bardzo dobrze: kwartet C-dur Haydna i kwartet D-mol Mozarta. Oklaski były szczere i długotrwałe.

Ogromne, jak zawsze, powodzenie zdobył sobie ostatni koncert „Lutni.“ Dzielna ta drużyna śpiewacza wykonała tym razem trzy kolendy ludowe w opracowaniu Noskowskiego: „Hej, w dzień Narodzenia.“ „Pan z nieba“ i „W Betleem sławnem.“ Opracowanie mistrzowskie,—a wykonanie przez chór inteligentne i artystyczne. „Lutnia“ odśpiewała nadto baladę Melcera „Pani Twardowska“ do poezji Mickiewicza. W dziele młodego kompozytora dużo jest fantazyi bujnej i umiejacnego wywoływania efektów. Wreszcie „Lutnia“ po raz pierwszy wykonała „Chór sprawiedliwych“ Moniuszki—dzieło imponujące, nastrojowe i piękne. Należy się dyrekcji „Lutni“ podzięką za zapoznanie nas z tym zapomnianym, a tak wspaniałym utworem.

Mniejsze wieczory i koncerty słabsze pomijamy, gdyż nie przedstawiają materyału ciekawego. W operze panuje wciąż niepodzielnie „Hrabina“ Moniuszki z p. Kruszelnicką—bohaterką sezonu.

A. Dobrowolski

Książki gwiazdkowe dla młodzieży.

Młotem i kielnią. Opowiadanie dla młodzieży. Zofia Bukowiecka. Warszawa. Gebethner i Wolff. 1899.

Każda wielka i dobra idea, zanim się stanie wyznawaną przez ludzką pewnikiem, przechodzi jak wszelki inny pewnik—przeobrażenia swoje, z przeczuć stając się hipotezą, marzeniem, usprawiedliwionem pragnieniem, nareszcie świadomem dążeniem i rzeczywistością. Idea społeczeństwa rozumnego, sprawiedliwego, statecznego, wyrobionego w sobie, nurtuje w szlachetnem sercu autorki, która nam dała dwie książki idei tej poświęcone, a dała je do rąk młodzieży, która może dożyć czasów, w których będzie tak dobrze na świecie i w sercach ludzkich, jak tego pragnie p. Zofia Bukowiecka. Czy już na świecie tak jest, jak tego dają nam obrazy „Dzieci Warszawy“ i „Młotem i kielnią“—

nie wiemy, nawet wątpimy nieco, choć, kto wie, dobro lubi się ukrywać, a złe jako pyszne wchrzy się po wierzech i w oczy bije. Ale że tak jak autorka pisze, tak być bezwarunkowo powinno, to rzecz nie do zaprzeczenia, więc trzeba tej konieczności uczyć młodzież i niech zawczasu bierze ona w swe dusze ziarna hipotez autorki i rozwija je w sobie na bujne kiedys żniwo. To, co kiedys będzie rzeczywistością wypadków życiowych, to dziś musi się stać pragnieniem ludzi wyrabiających naszą współczesność, a że młodzieży niemożna dawać książki ideami zapełnionej, lecz tętniącej życiem, więc autorka zane swe idee powcielała w ludzi i daje nam oto nieporuszane nigdy w literaturze dla młodego wieku obrazy życia społecznego tej sfery, którą nasze młode pokolenie zna najmniej. Poznajemy świat rzemieślniczy, panów majstrów, majstrowe, czeladników, terminatorów, cechy, pracę, trudy, pokusy i radości rzemieślnika, jego poziom umysłowy i jego ambicje, jego stosunek do innych warstw społecznych, dawniej, obecnie i jakby powinno być kiedys. Spotykamy tu wspomnienia historyczne, wpływy artystycznej natury, prąd postępowy, nurtujący tę sferę ciężkiej pracy i lepszych dążeń; poznajemy kilka typów wybornie skreślonych, z rzewnością i humorem; kilka sylwetek wykończonych doskonale, jak np. starego autoramentu czeladnika Zielonki i urwisa pędziwiatra Wicka; widzimy jak złość, głupota, zaniedbanie moralne prowadzi do upadku jednostkę słabą, niczem nie bronioną, ani wewnętrznym wpojonym w nią zasobem etycznym, ani opiekuńczym wpływem oświeconszych współbraci, których jest jeszcze za mało, aby ratować można wszystko co wsparcia, pomocy, rady potrzebuje. Autorka poznała dobrze świat rzemieślniczy i kreśli go z zamiłowaniem, z szlachetnym zapalem walczy o honor czeladnika, o sprawiedliwość dla terminatora, o uszanowanie dla ciężkiej pracy ludzkiej, na której świat stoi. I gdzie tylko przemawia za samą ideą, tam jest na gruncie niezaprzeczanej prawdy, tam wzrusza głęboko, przekonywa i naucza. Ale w całości kształcie życia rzemieślniczego uderzają od razu cudowne zarysy hipotezy, bo u autorki obraz to przeważnie jasny, ludzi świadomych siebie sporo, a taki Filip Szczygieł, toż to ideał prawdziwy, więcej takich, a zakwitną nasze cechy, miasta i przemysł rodzimy. Ale niechaj będzie i hipoteza! Majster powinien być takim jak Filip, czeladnik takim jak Florek Ziółko, terminator takim jak Wicek, gdy w Gdańsku uczy się dotrzymywać umowy i cenić nad wszystko obowiązek. Obraz jednak zyskałby bardzo na wypukłości figur dodatnich, gdyby cienie jego były więcej uwidatnione. Skoro autorka dotknęła już doli terminatora, to niechby ta nędza bezdenna dziecka ubogiego, rzuconego na pastwę złych ludzi i wyzyskiwaczy była wystąpiła w całej pełni, niechbyśmy widzieli jak to jest: teraz, jakie męczarnie nieraz chłopaczek mały przechodzi, nim przetrwa w piekło terminatorstwa, zdobędzie wreszcie bezpieczniejsze miejsce czeladnika. Wówczas i dobroć pani majstrowej Kasi i uspołeczniony umysł Filipa ślusarza odbijałby jeszcze wyraźniej i dobitniej, jako odwrotna strona złego.

Drugim światem, jaki nam przedstawia autorka, jest pensja żeńska, uczennice, nauczycielki, ale ten świat szkicowo rzucony, daje tylko pewne rysy i zdarzenia, o ile one mają styczność z pracownikami od młota i kielni. Widzimy też i kwestię wielkiej własności poruszoną i pracę kobiety i sprawę wychowania publicznego dziewcząt, i zbliżanie się przez pracę warstw społecznych ze sobą i wysokie stanowisko pracy kaźdej, która ma w sobie cel podwójny, zawodowy zarobek i spójnię socjalną między ludźmi. To wszystko są tezy tylko, które wskazać pragnę jako nici przewodnie tej książki, która jako czytanie jest przesłanicznym opowiadaniem z życia rzemieślników, stokroć więcej zajmującym niż dziesięć romansów współczesnych z bakteriami zmysłowej newrozy, stokroć lepiej i poetyczniej napisana niż całe chmary nowel wątpliwej tendencji i artyzmu rozlatających się między czytelników. Treści nie opowiadam, bo każdy po-

winien tę piękną książkę przeczytać, a chodziło mi tylko o wskazanie szlaku, jakim autorka idzie po swej literackiej drodze. Gościniec to szeroki, piękny, prosty, jak prawda, dobro, sprawiedliwość, uczucie i wesele ducha. Do tego p. Zofia Bukowiecka ma jeszcze dwa przymioty, którymi zawsze wywoła głębokie i rzewne, a czasem wstrząsające wrażenie: umie pochwycić chwilo-we, typowe, doraźne a głęboko ukryte uczucia dziecka, biedaka, sieroty, słowem rysy charakterystyczne jednostki najmniej nieraz widzialnej w społeczeństwie, a powtóre — umie chwycić chwilę w tłumie, w gwarze, w wirze codziennym i z nich naukę wielką dobywać. Wspomnę tylko owo porównanie pogrzebu z prowadzonym do więzienia nędzarzem moralnym, owo pytanie: „co potrafisz?“ które nurtuje ambicję wichrowatego Wicka, owo „za mną!“ do dobrego, do pracy, do wytrwałości i wiele podobnych błysków dojrzałej i szlachetnej myśli. W książkach p. Bukowieckiej nie ma też żadnej pozy, żadnej manier, są wypływem poprostu serca i umysłu stojących wysoko, więc umiejających odczuwać niedolę i trudy tego łoża padło. Parę drobnych szczegółów można by zmienić, np. w opowiadaniu Tamki jest pewna niedokładność co do śmierci księcia Józefa, wypada to tak, jakby z rozpaczyci rzucił się w nurt rzeki, szukając śmierci, a powinienby się Wicek dowiedzieć, że to na czele hufców dla uratowania sławy i honoru wojskowego tak się stało. Sam koniec też powieści mniej potrzebnie przypomina koniec „Pana Tadeusza“, z owym znanym potakiwaniem dwóch starszuchów i z wiele już razy powtarzanem przez różnych autorów motywem: „I ja tam byłem, wino i miód piłem.“ Książki p. Bukowieckiej są tak oryginalne, tak całkiem pierwsze ze swą myślą szlachetnego a socjalnego postępu, że jak w nich zachowa autorka tylko własne cechy, to będzie najlepiej i najharmonijniej. Z tego miejsca, rok temu witałam „Dzieci Warszawy“, dziś witam tak samo gorąco to wszystko, co autorka „Młotem i kielnią“ wykuć pragnie w duszach młodzieży naszej, witam bardzo serdecznie, z szcunkiem i gorącym uznaniem dla tego niewieściego pióra, które umie i wysoko się wznosić i muskać cicho spracowane czoła, zgębnione serca i stroskane dusze tych, których my znamy tak mało, a których pracy i pomocy potrzebujemy codziennie i co chwila.

Dzieci Warszawy! czytajcie książki pani Zofii Bukowieckiej, pobiegajcie do niej i powiedzcie: że ją szanuję, cenię, rozumiem i kocham razem z wami.

Szczęсна.

PAMIĘTNIKI

Adaminy z Bielskich Moszczeńskiej.

(Dalszy ciąg).

XXVII.

W Kaliskiem.

Dwa lata upłynęły od wykradzenia Maryni. Stanisław Z. odsiedział więzienie i groził zemstą ojcu mojemu. Familie kujawskie oburzone przeciw mej macosze, zerwały z naszym domem. Tam gdzie przyjazne rodzice moi zachowali stosunki, można było spotykać niechętnie obce twarze. Zbrzydły Kujawy i szambelanowi i posprzedawał dobra w tej okolicy posiadane. Bielice, lubo w Pałukach odcięte od reszty majątności, utraciły powab dla niego. Uzupełniając działą rodzinną, zbył i majątek w Gnieźnieńskim, miasteczko Żydowo, z kilku przyległymi wsiami i przeniósł się całkowicie w kaliskie, gdzie wcale korzystnie zakupił dobra z wielkimi borami, natenczas (1801—1804) nabierającami ceny.

Bielice wkrótce przeszły w trzecie ręce. Był to znany Chrościecki; nabył je, nie dawszy prawie nic ówczesnemu właścicielowi. Oto nabrał sum na hypotekę, wyczerpał co mógł z dochodów i nieruchomości, posadzkę nawet i kolumny marmurowe z pokoi, wyprzedał dachówki na dachach. Wpadał w załoty nawet do starych i szpetnych guwernantek, zapożyczał pieniędzy z ich pensji zebranych na urządzenie siedziby wspólnej po oznaczonym ślubie. A kiedy już wszystek grosz wypleniał, jaki tylko pod jego rękę podpadł, wysunął się tak, że już nigdy o nim się nie dowiedziano. Piękny pałacyk ulegał rozmaitym zmianom, dziś służy za miejsce wycieczki dla mieszkańców miasta, a ładna ta willa przypomina jeszcze niejednemu przyjaznemu sercu jej założyciela.

Pan pułkownik Zakrzewski zbył piękne swoje w bliskości Koła leżące dobra szambelanowi. Były to dwie główne wsie z przyległościami. Osiek mały, nadający nazwisko całej majątności, był w posiadaniu dzierżawnym familii Szumowskich, ludzi poczciwych, staropolskich, gospodarzy zawołanych, pobożnych i skromnych. Mieli dwie córki dorosłe i trzech dojrzałych synów. Starsza wychodziła za mąż: widzę jeszcze skromne przyrządy do wesela; wilzę, jak przechodząc długie, cieniste szpalery z książką nabożną, odmawia modlitwy, błagając Boga o błogosławieństwo. Starzec suchy, wysoki, z małą, okrągłą, wygoloną główką i siwymi wąsami, ojciec jej, przesuwa paciorki swego różańca i patrzy z zajęciem na tę ukochaną córkę; i ksiądz brat — zakonnik, modli się w opustoszałej dworskiej kaplicy, w której jeszcze odznacza się przesłaniczna rycina: obraz św. Anny uczącej wnuczkę Maryę. A drobna, szczupła, podeszła, ale żwawa matka krząta się po domu, bo i wesele nadchodzi a gości szambelan z familją — nowy nabywca, przenosząc dom uczciwego dzierżawcy nad wszechczynny dwór hypokondrycznego, mistycznego i rozważnego dziedzica.

Któżby pojął tę dziwną mieszaninę, z której się składa starzec 60-letni, nie należący skromnością obyczajów do ubiegłych wieków, przesądami i zabobonami sięga średniowiecznych dziwactw, a pietyzm jego nie zdaje się spoczywać ani na miłości Boga, ani na nadziei przyszłego życia, tylko na bojaźni kary, na którą przecież, lękając się — zasługuje. Żadna stara baba nie może się pokazywać nawet w bliskości dworu to czarownica. Asafetydą wykadzać po nich kazał pokoje, a jeżeli się odważyła skłonić do nóg pańskich i dotknąć ich, to lokaj znał się do powinności i uderzył tak mocno w policzek, że krew dobył się musiałą nosem lub ustami, aby czary domniemane moc swoją utraciły.

Ale natomiast młodsze czarodziejki licznie w *gynaeceum* zebrane otaczały nieustannie łóżko hypokondryka, który przywidział sobie od lat wielu, że chodzić nie może — ciągle leżał, o kuli tylko wstawał do przesłania pościeli, a na swem legowisku z ogromnym puhaem wina w rękę, otoczony czerwonymi w pijaństwie kobietami, które aniołkami nazywał, śpiewał godzinki, gorzkie żale, kolendy i rozmaite wszeteczne piosenki. Podobny był do bezrozumnego tworu, kalającego się w nieczystym odtoku i rzucającego się na śnieżne szaty kapłańskie, wyszłe z pod ręki czyszczącej, pobożnej niewiasty.

Ówczesna dążność religijna głównie skierowana była ku pokucie — nie jak dziś, ku uświęceniu życia i podniesieniu swej istoty. W nie dosyć roztrząśnionych modłach błagała Boga o uskutecznienie często zdrożnych zamiarów, przypominając, że Bóg w nas samych wlał pierwiastek wszelkiego dobra, a złe co się w nas odzywa, jest głosem ziemskiej istoty, nad którą duch górować ma.

Szambelanostwo wyśmiewali hypokondryka, a panny sędziarki psociły mu. I one nazywały aniołkami, ale się wcale nie ubiegały o honor należenia do przeczystego chóru, którego wszystkie głosy klątwami i śmiechem z czwartego pokoju słyszeć się dawały.

Jednego wieczoru, kiedy pułkownik zaczerwieniony węgrzynem, z iskrzącym wzrokiem na

aniołki Wierzchlejskie spoglądał i w najpiękniejszych słówkach prawie zaczął, Marynia, przygotowany piórko napelnione kalafonią sproszone, naprzeciw niego siedząc, przez świecę palącą się dmuchnęła... płomień wprost na twarz mu padł — zapomniał o kuli, zerwał się piorunem z łóżka i wołając: „Czary! czary! święconej wody!“ — biegał jak szalony po domu. Zapewne w ręku upadłych aniołków znalazł opiekę przeciw czarom Maryni, która w roku następnym za jego wyszła synowca.

W kilkanaście później, bo wyzdrowiał po tem zdarzeniu, przyjechał do Marszewa, czy to dla interesu, czyli też że go wabiły piękności budowy i ogrody tego miejsca. Gościł dni kilka, a nie łatwo było bawić takiego gościa. Wygodnie i fantazyjnie urządzona była łazienka wśród ogrodu opodal dworu: dwie alkiwy przedzielone ścianą i wsparte kolumnami, dotykały wesołego i zbyt koźnie urządzonego obszernego pokoju. Wyobrażały one lasek. W jednym stały dwie sofy, jakby murawą zielonemi okryte dywanami. W drugiej wanna, obszerny kosz wieńczony różami wyobrażająca. Z pierwszej było wejście do garderóbki, gdzie się mieściły płaszcze i bielizna łazienna, perfumy, aromaty i mydła do kąpieli służące i wszelkie inne wygody tajemne. Do drugiej spływała woda wszelkiej temperatury i równie łatwy miała odpływ. Piecyk żelazny, monumentalny zdobił i ogrzewał tę łazienkę; posłużył on wiele później do figla innego rodzaju. A dziś?..

Było przy dworze stadło małżeńskie, pochodzące z Sieradzkiego. Mąż i żona, tnąc mazurą, mieli całą powierzchowność włoską. On dziki, ona nadobna i pełna wdzięku, chociaż uczciwa kobieta, miała minę dość zalotną... Ubrano ją świeżo i powabnie, uwieczono różami i ona czyniła służbę łazienną. Wszystko było przewidziane i umówione. Spolszczona Włoszka, czyli przeciwnie, zajęła łatwo starego satyra.

Wszystko było znośne, ale gdy za miłą przysługę przyjęła ofiarowanego dukata, a pułkownik natęczywszy się stał, wypada zaczął w garderobie mąż z zaiskrzonym wzrokiem, rozrzuconemi czarnemi, kędzierzawemi włosami, z ogromnym kucharskim nożem, wymierzonym przeciwko uwodzicielowi. Dwa dukaty uspokoiły mniemany gniew Macieja; pułkownik milczał jak zmyty, a cały dom szambelaństwa odbijał w swych ścianach wesołe śmiechy. Państwu Maciejostwu spodobała się odegrana komedijka, — szkoda że nie łatwo było o takich pułkowników starego autoramentu.

Miał on 3 siostry.

Dwie z nich, jak ptaszki sympatyczne, kochały się wzajem, modliły pospołu, lękały czarów i czartów, widywały duchów. Mieszkały w Sobiesińskich w Kaliskiem. Jedna z tych dwóch była poważną wdową, druga, choć podeszła, zachowująca ślady niezwyklej piękności, uwielbianą była kiedyś przez jednego z Radziwiłłów, a że miała niemyślną nadzieję zostać księżną panią, lubo kochanek zmienił się, ona zbezczeszczyć nie chciała opromienionej mitrą swej osoby, odrzucała najlepsze partye i przenosiła smutną starość bez męża i rodziny, aby zachować niepokalany skarb pamiątek wieku młodocianego.

Te dwie damy nie opuszczały nigdy swego siedliska wiejskiego, skutecznie sprawunki i interesa przez księdza kapelana i starego bawiącego kawalera, pana Bukowskiego; nie dopuszczały świętego powietrza do swych pokoiów, aby z niem nie wcisnęła się moc czartowska, nie rozdawały dla tego żadnych znoszonych sukien i bielizny; a kiedy ostatnia z nich życie zakończyła, to znaleziono 55 salop, kilkaset par trzewików i wszystkiego w proporcji, co ściśle spełniało magazyny domowe. I w to odosobnienie mody znać wkładały się, kiedy jej zmiany tyle namnożyły przyborów.

Pomimo śmieszności towarzyszącej przesadom i dziwactwu, było coś tkliwego i wzniosłego w życiu tych dwóch kobiecych odludków. Wiedziałam je w ich domu, towarzysząc Maryni w odwiedzinach kuzynek męzowskich. Były wesołe i rozgadane. Pani Wągrowka wyglądała dość przedpotopowo w białej persowej sukni w wielkie wzory, jakie wtenczas na meble używano i w dość wysokiej fryzurze, na przekór greckim strojom. Panna Zakrzewska trzymała środek pomiędzy XVIII i następnym stuleciem; mniej uderzała przedawnieniem mody, jak zachowaniem wdzięków.

Trzecia siostra i to najmłodsza była małżonką kapitana wojsk saskich, sztywnego i wymierzonego, jak Niemiec, żywego i pożądanego — po naszymu. Była zarazem macochą dwóch pasierbów i pasierbicy, najnieudbalej wychowanych, w czem nie jej była wina: raz, że lepiej nie znała, a potem, że pan kapitan był wielkim egoistą, obok którego małżonka zdania mieć nie mogła, ani dzieci potrzeb nie powinny były mieć.

Dla tego też panna Zbijewska z Trzebuchowa bujała się, chodząc szeroko z jednej na drugą nogę, mazurzyła, szepleniła i więcej nie umiała nad pacierz z różańca, bo z książki było jej za trudno, a chociaż ładna, to trudno było dostrzedz piękności jej rysów, chyba pociągawszy linie malarskie po jej twarzy, takie było osłupienie jej oczu, opuszczenie warg i ściągnięcie czoła.

Synowie postarali się przy ojcu. Ten posażną żonę za służkę domu, służkę za panią przybrał. Macocha płakała, synowie burzyli się, postanowili wyprawić z domu... Przyszło do scen burzliwych pomiędzy synami ojcem — i dokonali co zamierzali. Starzec ten 76-letni ubrał się jak w podróż, rozkazał zaprzadzić do powozu, zamknął się w swoim pokoju i wystrzelił sobie w czaszkę!... (1818.) Pokój jego błądny cieniem!...

A pan pułkownik? Przehulał bez chwały do brodziejstw i gościnności cały swój majątek i gdzieś tam u rodziny zakończył dziwaczny, czczy swój żywot.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Kronika działalności kobiecej.

— Bawiła w naszym mieście około dni dzieściu zajmująca Szwedka, panna Ellen Wester, tłumaczka wielu polskich prac, naszych, najwybitniejszych autorów, jak Kraszewski, Orzeszkowa, Sienkiewicz. Celem życzliwych odwiedzin naszego kraju jest sympatya jaką p. Wester odczuwa dla nas i chęć bliższego zapoznania się z żywym społeczeństwem, którego arcydzieła literackie zamierza przyswoić swemu rodzinnemu szwedzkiemu językowi. Panna Wester jest młodą, miłą i inteligentną osobą z cechą wybitnej dojrzałości umysłowej i zmysłu spostrzegawczego. Zostawiła między nami dobre i serdeczne wrażenie.

— Stopień kandydatek medycyny po ukończeniu studiów na uniwersytecie w Genewie,

otrzymały panie: Matylda Kobryner z odznaczeniem i Jadwiga Michalska.

— W Berlinie osiadła jako praktykujący lekarz dentysta, panna Freudenheim, która ukończywszy swe studia w Szwajcarii, pracowała już od lat 9-ciu w Królewcu. Dotychczas Niemki nie mogą przechodzić swych studiów literackich w kraju i muszą szukać nauki daleko w świecie, te zaś które zamierzają się poświęcić dentystyce, wyjeżdżają najczęściej do Ameryki gdzie ten dział medycyny najwyżej postąpił i znajdują się znakomici specjaliści. Praktyczni Niemcy powinni zrozumieć, że właśnie najpraktyczniej by było aby ich kobiety oddające się wiedzy pozostawały w kraju, wśród swoich rodzin i nie narażały się na ogromne koszty podróży i pobytu wśród obcych. Lekarze jednak Niemcy z całą germańską brutalnością opierają się przypuszczeniu kobiet do fakultetów medycznych i nawet tych kobiet, które już praktykują i mają doktoraty nie chcą przypuścić do stowarzyszeń literackich!

— Panna Agnes Wolffson, krzątająca się od dawna z rozsądną gorliwością około wyższego i dokładniejszego wykształcenia kobiet na polu pracy gospodarskiej, przedstawiła obecnie zgromadzeniu radnych miasta w Hamburgu prośbę, o udzielenie miejsca na budowę nowej szkoły gospodarstwa domowego dla kobiet, z warunkiem aby plac ten mógł się znajdować jaknajbliżej szkół ludowych. Szkołę tę założyła p. Wolffson własnym kosztem jak już założyła dwie inne, w latach 1896 i 1897. Projekt został przez radę miasta przyjęty i przeznaczono pod budowę szkolnego domu obszerną parcelę gruntu przy ulicy Humboldt'a, a duży dziedziniec i ogród przyległy zamienione zostaną w przyszłości na skwer dla dzieci. Takie rzeczy wydają nam się cudowną baśnią, nam, którzy sami zabudowujemy każdy metr kwadratowy powietrza, wypychamy dzieci zewsząd a kobiety nasze dziś obojętnie patrzą na to, że w końcu nie będzie gdzie iść z dziećmi na przechadzkę.

— W Dreźnie ukończyła tej zimy swój zajmujący i ściśle naukowy kurs prawa panna Anita Augsburg. Liczne grono kobiet słuchało ciekawych tych odczytów, mianowicie z dziedziny prawa rodzinnego.

— Na uniwersytecie w Utrechie, na wydziale teologicznym pracują dwie kobiety, jedna z nich, panna M. von Hettinga-Tromp, zdała właśnie z świetnym skutkiem jeden z kilku trudnych egzaminów tego trudnego wydziału.

— W nowo-założonej szkole ogrodnictwa dla kobiet w Koristo przy Abo (w Finlandyi) została dyrektorką zakładu pani majorowa Jock. Szkołę założyła dyrekcyja gospodarstwa wiejskiego. Kurs nauk jest dwuletni, a uczennice powinny mieć wstępować na kursa ukończonych lat 18 i patenty z ukończenia szkoły ludowej.

— Nekrologia. Tekla z Parczewskich Zmorska, wdowa po znanym poecie Romanie Zmorskim, 73 lat, w Warszawie. Tłumaczyła utwory obcych pisarzy, pisywała też korespondencję do „Kłósów“ z Poznania. Pozostały po niej pamiętniki, w części już drukowane.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: arkusze 8 powieści, p. t. *Adolf Ribbing*, przez M. E. Coleridge. Przekład z angielskiego Z. S.

Treść: Postacie niewieście w poezjach L. Kondratowicza. Studium psychiczno-etyczne, przez Stanisława Ostrowskiego. — Piotr Chmielowski. Nasza krytyka literacka w wieku XIX-ym (dalszy ciąg). — Wszystko mi jedno, przez P. Zieleniewską. — Kazimierz Gliński. Krzywdy. Powieść (dalszy ciąg). — Jeszcze słówko o Józefie Naprstkowej, przez Janinę S. Aleksotę. — Ruch muzyczny, przez A. Dobrowolskiego. — Książki gwiazdkowe dla młodzieży, przez Szczęsną. — Pamiętniki Adaminy z Bielskich Moszczeńskiej, przez J. Moszczeńską (dalszy ciąg). — Kronika działalności kobiecej.

Dodatek obejmuje: *Adolf Ribbing*, powieść, przez M. E. Coleridge. Przekład z angielskiego Z. S. arkusze 8-my. — Przegląd mód. 23 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycja obiadu.

Przegląd Mód.

SEZON KARNAWAŁOWY.

II.

Tegoroczna karnawałowa moda stanowczo jest kapryśna i nie zdecydowana, podobna do swej siostrzycy aury, która nas darzy samymi niespodziankami w postaci deszczu, wichury lub zawiei, zamiast nam dać kilkanaście stopni wytrzymałego mrozu, owiniętego w powiewną szatę białego puszystego śniegu.

To samo dzieje się z karnawałowymi tualetami, gdyż ładna balowa suknia obecnie polega nie na doborze choćby najmodniejszego materiału, lecz na szczęśliwym wyborze krawcowej. Albowiem balowa, czy też rautowa suknia składa się często z kilku materiałów, które potrzeba umiejętnie zestawić. Naturalnie, iż przesada lub brak gustu, może tu często narazić na śmieszność i dla tego chcąc jej uniknąć, należy się bardzo zastanowić nad wyborem krawcowej. Uwagi powyższe przedewszystkiem stosują się do sukien

leux, gładkie wspaniałe aksamity i velours miroire.

Jako przybrania do powyżej wymienionych, materiałów, przesłicznie się nadają: aplikacje, galony z pailletami i perłami, tiule paillete, wolanty tiulowe narzucone pailletami, wreszcie velours miroiré.

Przybrań tych sprowadził p. Makowski wielką ilość, tak, że opisać tego wszystkiego niepodobna i najlepiej jest sprawdzić własnymi oczyma.

Młode panienki znajdą tu wielki wybór, stosownie dobranych dla nich materiałów. Najpiękniejsze i najmodniejsze z nich są: gazy jedwabne w paski, kratki, kropki, ze sznelą, z pailletami. Gładki jedwabny muślin, całe sukienki gazowe haftowane, „Surah“ i „taffetas“ gładkie fulary, lub bardzo piękne tiule sznelowane.

Do najmodniejszych należą gazy sznelowane, ale ponieważ te pogrubiają cokolwiek figurę i nie tak dobrze się układają, z konieczności mają tylko pewną grupę swoich zwolenniczek.

Oto materiały, jakie w tym sezonie uznano za panujące.

Oprócz nich sprzedaje się wiele innych i nosić można innego rodzaju tkaniny, gdyż jak to już

zaznaczyłam, kaprysy mody są tak różnorodne, że pozwalają na noszenie wszystkich możliwych materiałów.

Suknie ślubne z pewnością potrzebne nie jednej z naszych czytelniczek, są najmodniejsze z pięknego białego atlasu, mory, lub repsu „ottoman“, z pięknym długim welonem z jedwabnej illuzji i bukietem tradycyjnego pomarańczowego kwiatu.

Wielki wybór tak welonów, jak i bukietów paryskich posiada pani A. Saska (magazyn mieści się Wierzbowa 6) i tam radzę udać się naszym czytelniczkom dla skompletowania weselnego stroju.

Zarzutka do stroju weselnego, najstosowniejsza będzie z tego samego materiału, z którego jest wykonana suknia.

Objęcie wokoło najpiękniejsze, zawsze miły ładzi puszek, lub białe strusie pióra.

Bukiety weselne, artystycznie ułożone w długie wiązanki, przepasane piękną, szeroką, atlasową, morową, lub repsową wstążką, białą dla panny młodej, dla druhen lub dam młodych z orszaku weselnego — ze wstążek kolorowych, do sukni zastosowanych.

Wachlarze z białych lub kolorowych strusich piór są zawsze noszone, obok modnych małych



Nr 1. Paltocik, czapeczka i mufka dla młodej panienki na ślizgawkę. (Krój i opis pierw. strona tabl. Nr 1, fig. 1—6).

dla mężatek, sukienki bowiem dla młodych panien powinny być wykonane z ładnej lekkiej tkaniny w jednym kolorze, przybrane co najwyżej kwiatami, na stosownie dobranej jedwabnej podszewce.

Prześliczne i najnowsze materiały na obecny sezon karnawałowy, widziałam w znanym magazynie p. Edmunda Makowskiego na Placu Teatralnym.

Dla mężatek i pań poważniejszych, przeznaczone są piękne, pół-jedwabne materiały, jak: Moiré Velours i Fleurs de Velours; bogate, czysto-jedwabne adamaszki i brocatelle deseniowane; zawsze piękny i modny satin duchesse i satin merveil-



Nr 2. Strojna aksamitna tualeta, przybrana szynszyłowem futrem, kapelusz, oraz kołnierz z niebieskich lisów.



Nr 3. Kapelusz wizytowy z aksamitu z aplikacją, oraz kołnierz futrzany.

wachlarzyków „empire.“

Moda tegoroczna wprowadziła wiele kwiatów. Suknie całe podpinają się kwiatami, głowy przystrajają girlandami z kwiatów.

Tutejsze fabryki kwiatowe przygotowały ogromny wybór różnorodnych kwiatów modnych w tym sezonie. Mistrzynią wyrobu kwiatów jest pani Wanda Siwińska (Krakowskie-Przedmieście 57), gdzie taniość i wybór przesłicznych okazów kwiatowych może zadowolnić najwybredniejsze wymagania.

M. Ch.

Strojna aksamitna tualeta, przybrana szynszyłowem futrem, kapelusz, oraz kołnierz z niebieskich lisów.

Rycina Nr 2.

Na tualetę tę użytym jest fiołkowy aksamit. Spódnice, z wysoką, z przodu w zab wykraną falbaną, u dołu i przy połączeniu z falbaną przybiera oszycie z szynszyli. Bluzkowy stanik, z boku zapięty, ozdobio-



Nr 4. Bluzka z taffetas dla młodych osób.

Z boku, przy zapięciu upiętą jest falbanka, zakończona zakładkami, tak samo zakończone epolety przybierają w górę rękawy, przy rękę podłożone falbankowatym mankietem. Na pasek użyty jest także sam szlaczek, jaki obejmuje karczerek.

Peleryna futrzana, oraz okrągły kapelusz.

Rycina Nr 5.

Połączenie dwóch futer przy obecnej modzie często używane, składa się na pelerynę wskazaną na rycinie naszej. Peleryna z pięknych karakułów podłożona fanelą i jedwabną podszewką, oszyta jest dwiema falbanami z siłskinu. Odstający kołnierz, zewnątrz karakułow, wewnątrz wyłożony jest siłskinem.

Filcowy kapelusz z szaro-żółtego filcu, przybrany jest aksamitem tegoż koloru, piórami i agraftami. Aksamit ułożony wokół główki zakończają z przodu sztywno stojące końce, przypięte agraftą, z po za której wznosi się kosztowna egreta z czarnych krosów. Rondko podpinu rozeta z blade-niebieskiego aksamitu i agrafta.

Sukienka dla dziecka od 1—2 lat

Rycina Nr 8. (Krój pierw. str. tabl. Nr VII, fig. 38—42).

Śliczna, wycięta sukienka z białej flaneli, zupełnie puszczone, proste bryty przyszyte ma do karczka, z tyłu prostego, z przodu w ząb wyciętego i zakończonego haftem kolorowem jedwabiami. Wycięcie przy szyjce, jak również krótkie bufki, ujęte są w pliski z tegoż



Nr 6. Fałdowana sukienka z wełnianego materiału w kratę dla dziewczynki od 7—8 lat. (Krój i opis pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 24—30).



Nr 7. Ubranie dla chłopczyka od 7—8 lat. (Krój i opis odw. str. tablicy Nr XII, fig. 82—89).

Nr 8. Sukienka dla dziecka od roku do 2 lat. (Krój pierwsza strona tablicy Nr VII, fig. 38—42).

materiału, ozdobione nieg. krzyżykowym lub point-d'epine, wykonanym kolorowem jedwabiami. Na ramionkach przypięte są kokardy z niebieskiej, lub różowej wstążki.

Kostium damy chińskiej.

Rycina Nr 10. (Krój odwrotna strona tabl. Nr XI, fig. 74—81).

Bardzo łatwy do wykonania, kostium ten, w braku prawdziwych chińskich materiałów, może być zestawiony z niekosztownych jedwabnych materiałów i różnych aplikacji. Na jedwabnych, bardzo sztywnych majteczkach, spoczywa spódniczka fałdowana, złożona z dwóch części, z przodu i z tyłu szeroko zachodzących jedna na drugą. Spódniczka ta najlepiej wygląda, zrobiona z zielonego atlasu i podszyta blade-niebieską materią, zakończona zaś pliską z czarnego jedwabiu i szlaczkiem z odpowiednim do chińskiego stylu rysunkiem. Z przodu i z tyłu, na złożeniu spódnicy pływa wązki bryt w rodzaju fartuszka, tak samo jak dół spódnicy, oszyty wokół atlasową pliską i szlaczkiem. Luźna wierzchnia sukienka, w rodzaju długiej prostej bluzy z ponsowego atasu, zaszywna jest łatwą wzorzystą aplikacją, w rozmaitych kolorach i oszyta u dołu szlaczkiem, wykonanym łatwym podłożnym ściąg. Kolowami jedwabiami. Szerokie oryginalne rękawy, białym atlasem podłożone, oszyte są złotym szlaczkiem. Trzewiki muszą być zastosowane do kostiumu. Noga spoczywa na podkładce drewnianej białe lakierowanej, podklejonej skórą. Właściwy trzewiczek zrobiony z zielonego atasu, ozdobiony jest aplikacją z różowego jedwabiu i objęty niebieską repsową wstążką. Wiele starania wymaga uczesanie. W tył uczesane i dosyć nisko



Nr 10. Kostium damy chińskiej. (Krój odw. str. tab. Nr XI, fig. 74—81).

Nr 11. Kostium księżniczki indyjskiej.



Nr 9. Kaftanik, kapelusik i mufeczka, dla dziewczynki od 3—4 lat. (Krój kaftanika, oraz opis pierw. str. tabl. Nr V, fig. 31—35).

a luźno upięte włosy, przybrane są małym wianeczkiem z kwiatów, jedwabnymi motylami, pomponami długą złotą strzałą. W rękę chinka powinna mieć lusterko metalowe, z odwrotnej strony pięknie cyzelowane. Ozdobę szyi stanowią sznury pereł i koronki z długimi wisiorami, w uszach duże złote koleżki.

Dla sporządzenia trzewiczków najlepiej jest obstałować u stolarza podszewkę 4 ct. grubą, dając mu formę podług fig. 80, a następnie dopiero wykończenie trzewiczków oddać szewcowi.

Kostium księżniczki indyjskiej.

Rycina Nr 11.

Bardzo malowniczy, szczególnie dla smagłych brunetek kostium, składa się: z białej crêpe de chine'owej, luźnej, prosto skrajanej sukni, noszonej tylko na trykocie i bardzo cienkiej spódnicy i z dwóch szali, każdy różnego koloru. Taniej można wykonać ten kostium, używając zamiast crêpe de Chine, białego wełnianego materiału. Właściwa sukienka składa się z dwóch brytów crêpe de Chine'u około 1 3/4 mt. długości i 1 1/4 mt. szerokości, w odstępie 50 ctm. od dołu, spiętych czterema pięknymi agraftami. Bryty owe, z wyjątkiem tylko górnego brzegu, oszyte są szerokim, bogatym, złotym szlaczkiem i związane na ramionach złotymi kwastami. Obcisły jedwabny trykot łączy się z długimi otwartymi rękawami. Te mają 116 ct. długości, 1 mt. szerokości, w dole są zaokrąglone i wszyte w ten sposób, że większa



Nr 5. Peleryna futrzana, oraz okrągły kapelusz.

część fałd znajduje się pod ramieniem. Miękkie, z indyjskiego jedwabiu szal, 3 1/2 mt. długi, 57 ctm. szeroki, w kolorze dowolnym, aby tylko jaskrawym, zakończony złotą frendzlą, ściągnięty i przypięty jest na piersiach kosztowną, autyeczna agraftą. Szal krzyżuje się na plecach, wraca do przodu i poniżej stanu związany jest na węzeł. Złoczone opaski przytrzymują włosy, przybrane nadto, fantazyjnie upiętymi kwiatami. Szyję pokrywają sznury pereł, koralu i innych paciorków. Nogi w jedwabnych cielistych pończoszках, obute są w haftowane złotem sandalki.

Balowa tulaeta z atlasu i gazy.

Rycina Nr 12.

Na spódnicy z lekkiej materii, oszyta u dołu kilkoma plisowaniami falbankami z gazy, spływa druga, krótsza, z atlasu, wycięta w okrągłe zęby. Górne falbanki, jak również brzeg atlasowej spódnicy, oszyte są karbowaną wstążką. Staniczek składa się z kilku, poprzecznie ułożonych fałd atlasu, przyszytych do rodzaju karczka, pokrytego drobnymi plisowaniami falbankami, odpowiednimi do dołu sukni, także gazowe ruisze zastępują rękawki. Fałdy na staniku schodzą się z boku, zasnuwane czarną aksamitką. Z takiejże aksamitki przepaski z kokardkami opuszczają się poniżej ramion. Tulaeta ta najpiękniej wygląda w białym kolorze.

Tulaeta balowa, przybrana koronkami.

Rycina Nr 13.

Na gładkiej spódnicy, z białej lub innej, jasnej materii, ułożona piękna, czarna koronka Chantilly, schodzi długą, zębatą tiunką, aż do dołu sukni. Poprzecznie z przodu marszczony stanik przykrywa w części skóśnię przepięta koronka. Gładkie plecy, całe obciągnięte są koronką. Krótkie bufki spinają brylantowe agrafty.

Śliniaczek, ozdobione łatwym haftem.

Rycina Nr 14, 15, 16 i 18. (Krój i desen pierw. str. tab. Nr VIII, fig. 43—46).

Śliniaczek, wskazany na ryc. Nr 14, w formie kaftaniczka bez rękawów, przybrany strojnem białym hafciakiem i wstążeczką, przewleczoną przez wstawkę, ozdo-



Nr 12. Balowa tulaeta z atlasu i gazy, dla młodych osób.

Nr 13. Balowa tulaeta strojnem przybrana koronką.

biony jest nadto łatwym a bardzo efektownym haftem, wyszytym jedwabiami do prania. Krój śliniaczka wskazany jest na fig. 43 i 44.

Równie ładnym jest śliniaczek ryc. Nr 15, skrajany podług fig. 45, haft na tym śliniaczku wykonany jest jak na poprzednim przybranie także podobne, składa się z haćiku i wstawki, przeciągniętej wstążeczką. Dodać jeszcze należy, że obydwa śliniaczki winny być podszyte cienutkim perkalem.

Ramka do fotografii.

Rycina Nr 17 i 22. (Forma i deseń odwr. str. tabl. fig. 102).

Haft, wykonany na materiale, którym obciągnięta jest drewniana ramka do fotografii, przedstawia robotę dosyć trudną i wymagającą pewnej znajomości rysunku, bez tej, sam wzór nie wystarczy. Ramka 22 ctm. szer., 31 ctm. wysoka, ma wycięcie na fotografię szerokie 9, wysokie 16 ctm. Ramkę pokrywa na lekkim podłożeniu z waty, gruba materyja repsova, na brudno-zielonym kolorze. Odwrotna strona ramki obciągnięta jest zielonym atlasem. Haft przedstawiający kwiat polne makówki, wykonany jest pojedynczą nitką filozeli, w ten sposób dobranej do cienia, że do złudzenia naśladuje malowanie, co tem łatwiej jest otrzymać, że pierwszoplanowe liście haftują się na oddzielnym kawałku materyi, a następnie ukrytym ścięciem aplikują do desenu na repsie. Kolory najlepiej jest dobrać zastosowane do naturalnych kwiatów, jaszkrawo-ponsove makówki najefektowniej wyglądają przy szaro-zielonych liściach i czarnych szypułkach. Zamiast listewki okalającej ramkę, naszyte są gęsto jeden obok drugiego złote sznurczki japońskie.

Szlak do serwet.

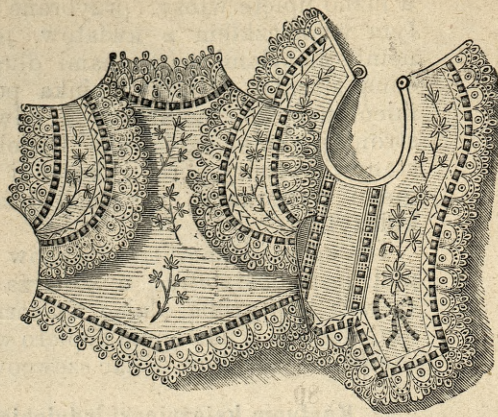
Rycina Nr 23 i 19. Połowa naturalnej wielkości.

Bardzo łatwa, nie droga i efektowna robota daje się wykonywać na ponsowym materiale Aida, albo płótnie Jawa, białymi lnianymi niemi. Bardzo ładnym zestawieniem jest ściąg (wskazany na ryc. Nr 19), tworzący gęstą, matową linię, z rzadkim ścięciem, stanowiącym tło desenu. Brzeg serwety okala ściąg, wskazany na rycinie Nr 19. Do frendzli wysnutej z materyalu serwety można domieszać białych nici.

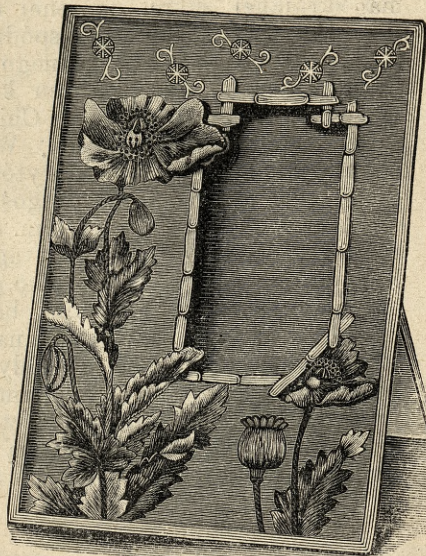
PRZEPISY GOSPODARSKIE.

KRUCHE CIASTO Z OWOCAMI. TORT.

Funt mąki, pół funta masła, szklanka cukru, pół łyżeczki sody mielonej, trzy całe jaja zagnieść dobrze na stolnicy, jeżeli się mąka nie wgniecie, dodać żółtko, jeżeli za wolne ciasto, dodać mąki, żeby ciasto było dosyć gęste i dało się, jeżeli nie wywałkować, to rozpostrzeć na



Nr 14 i 15. Śliniaczki ozdobione łatwym haftem jedwabnym (do ryc. Nr 16 i 18).
(Krój i deseń pierw. str. tabl. Nr VIII, fig. 43—46).



Nr 17. Ramka do fotografii (do ryc. Nr 22).
(Krój i deseń odwr. strona tablicy fig. 102).



Nr 20 i 21. Przody bluzkowe do staników otwartych i paltoceków.
(Krój i opis pierw. str. tablicy Nr VI, fig. 36 i 37).

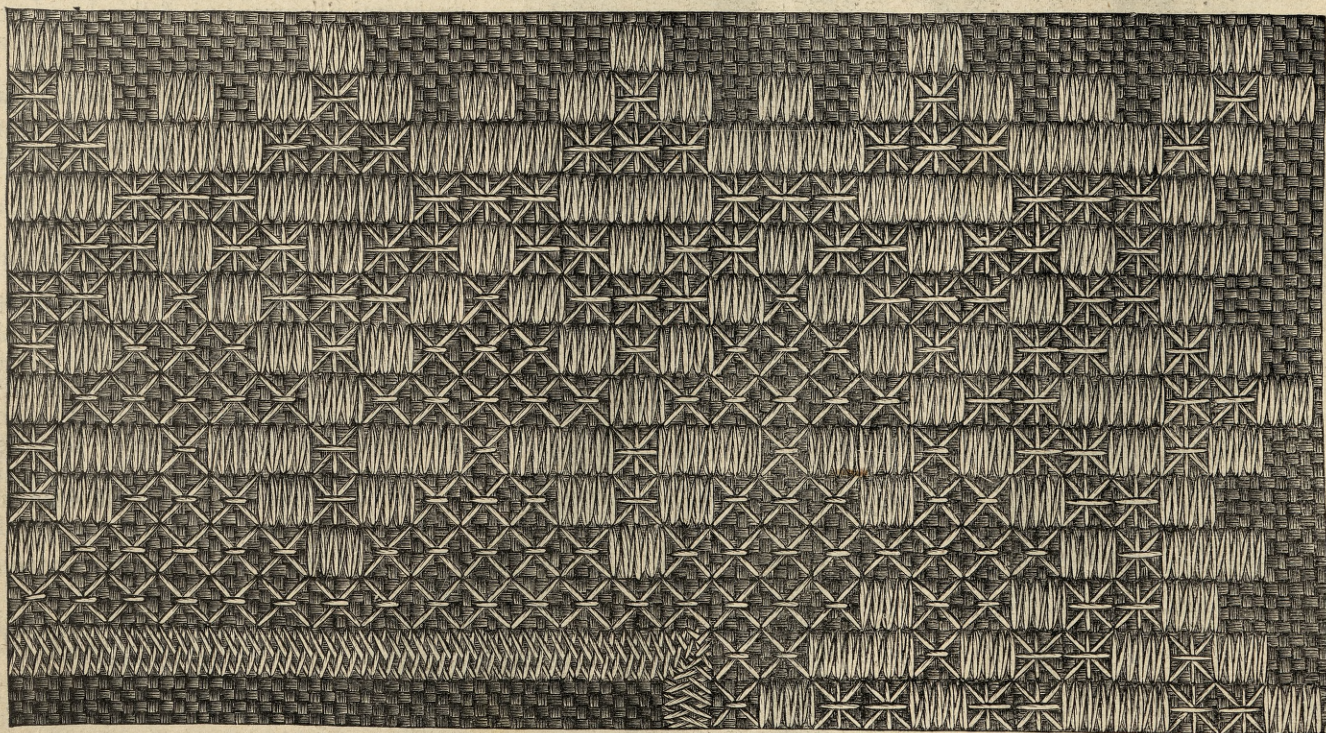


Nr 22. Część haftu do ryciny Nr 17.
Wielkość naturalna.

blasze, wysypanej poprzednio mąką. wstawić w gorący piec (lub piecyk pod blachą) na kwadrans, gdy będzie na dopieczeniu, t. j. gdy się zacznie rumieć, wystawić i nałożyć kompotem, marmeladą lub konserwą, poczawszy od agrestu. Nałożyć marmeladą na palec grubości, posypać cukrem i wstawić znów w piecyk na kwadrans. Wyjawszy pokrajać na kawałki, dopóki tort gorący i gdy wystygnie, podać zamiast leguminy, lub na podwieczorek do herbaty, lub wody z sokiem.

Obiad na Niedzielę.

1. Zupa purée z drobiu.
2. Paszteciki kokilki.
3. Kotlety pożarskie.
4. Rosboeuf po angielsku.
5. Kuropatwy z kompotem z wisien.
6. Tort hiszpański.



Nr 23. Szlak do serwet (do ryciny Nr 19).
Wielkość naturalna.



Nr 18. Część haftu do ryciny Nr 14.
Wielkość naturalna.



Nr 16. Część haftu do ryc. 14. Wielk. natur.



Nr 19. Wykonanie ścięgu do ryc. 23.

UWAGA. Do dzisiejszego numeru dołącza się tablica krojów, objaśniająca wzory ubiorów i robót w tym i w przyszłym N-rze „Bluszczu” podać się mające.